BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 16 **NUMER ŚWIĄTECZNY** Cena 35 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI Łódź, 17–24 kwietnia 1949 r. Nr 16–17 (195–196)

Uniwersytet Gdański Biblioteka

W NUMERZE

między innymi:

Z. Mysłakowski, D. Szostakowicz, J. Litwin — głosy o pokoju.
M. Janion — Powieść o chłopskim buntowniku.
T. Orlewicz — Pierwszy kwartał 1949 r.
I. Fostein — Chińskie drzeworyty.
K. Piwarski — Pakt Atlantycki a Karta ONZ.
M. Gorkij — „Na dnie" (fr. dramatu).
J. Czarny, Z. Stolarek, J. Nagrabiecki — wiersze.
M. Kościńska — Porachunki pod jabłonią.
P. Vaillant-Couturier — O jednego kulisa więcej.
W. Błachut, E. Biedrawina, J. Cichowski — O pieśniach i bajkach chłopskich.
I. Kowalczyk — Miasteczko (monografia).
A. Woźnicsieński — Szkoła radziecka.
W. Jażdżyński — Jeszcze jeden przodownik.
Pogan. Kapuściński, Sławiński, Rękas — Uwagi.

P O K Ó J

Natalia Gąsiorowska

Wobec Międzynarodowego Kongresu Pokoju

Przed I wojną światową Międzynarodówka socjalistyczna wzywała robotników wszystkich krajów do międzynarodowej solidarności w obronie pokoju. Na Kongresie w Stuttgarcie Jaurès, Bebel, Adler zgodnym chórem „solidarnie" i z entuzjazmem śpiewali „Ça ira", ówczesną międzynarodową pieśń rewolucyjną. W kilka lat później Jaurès w otatnich chwilach walki o pokój padł od kuli mordercy, „patrioty" francuskiego, a Bebel i Adler rzucili robotnikom niemieckim rozkaz: karabin na ramię w obronie „ojczyzny", w istocie — w obronie rodzimego imperializmu.

Rozpętała się burza wojenna i faszystowska na lat kilkadziesiąt. Zmiecione zostały z powierzchni życia pokojowego słogany przywódców robotniczych przedwojennych.

Dziś znowu w całej grozie jawi się imperializm, już nie europejski, lecz zza oceanu, gdy skazany nieuniknionym biegiem dziejów na zagładę, broniąc swego istnienia gotuje się do ataku. Operując psychozą atomową, paktem atlantyckim, posługując się szantażem dla oddziałania na psychikę mas, dla ich zastraszenia, w chwili największego niebezpieczeństwa wobec rozporządzania istotnie wielkimi siłami może nie cofnąć się przed największym szaleństwem.

Groźba zniszczenia wisząca nad światem budzi czujność tych, którzy kierują budową nowego życia na gruzach powojennych. Uderzono na alaram. Przeciw gotującej się do skoku bestii — wojnie spręża się wola pokoju mas, powszechna, ale jeszcze rozproszona, potencjalnie potężna, ale jeszcze często nieświadoma swojej siły.

Międzynarodowe kongresy pokoju, skupiające elitę intelektualną wszystkich krajów, powołane są do wielkiego zadania w sprawie obrony pokoju. Naukowcy, artyści, nauczyciele, publicyści, działacze społeczni, wybrani spośród najlepszych, mają obmyśleć najskuteczniejsze środki działania będące w ich zasięgu, aby pobudzić energię całego świata w rozwijającej się akcji pokojowej. Należy skupić uwagę świata pracy na realnym niebezpieczeństwie tkwiącym w niszczycielskiej sile imperializmu; uświadomić ogrom zła niesionego przez wojnę, grożącą zagładą kulturze, zahamowaniem postępu; wstrząsnąć sumieniem ludzkim, poruszyć opinię narodów, wywoływać protest, przeciwdziałanie w sprawie w tym momencie najistotniejszej dla naszego i przyszłych pokoleń, dla młodzieży; przedstawić szanse zwycięstwa nad obozem kapitalistów ze strony demokracji ludowej wszystkich krajów, skupionej dookoła Związku Radzieckiego.

Należyta ocena niebezpieczeństwa wojny, z drugiej strony zorientowanie w rzeczywistej przewadze świata postępu w organizacji, liczbie, sile fizycznej mięśni ludzkich, maszyn, na tej realnej ocenie wrogich sobie potęg oparta wiara w zwycięstwo socjalizmu nad zmurszałym schyłkowym światem — to zapewni pokój, pokój trwały.

Wojna wojnie wydana po drugim kataklizmie światowym przeciwstawia sile agresorów nie słowa, jak czterdzieści lat temu, lecz SIŁĘ OBRONY. Odsłonięcie masom ogromu strat i nieszczęść, jakie niesie wojna w warunkach dzisiejszej techniki, oraz ogromu sił, jakimi ludzkość dążąca do pokoju rozporządza, zbudzi wolę zachowania pokoju, wolę tak natężoną, że jej żadne hasło za wojną nie zdobędzie, żadna siła przeciw pokojowi nie pokona.

Konsoliduje się wola pokoju. Siły proletariatu oraz pracujących chłopów skupiają się w demokracjach ludowych dążących do ładu i postępu. Powszechna wola pokoju znajduje oparcie o realną potęgę zapewniającą zdolność czynu. Zbudowany bastion pokoju w Związku Radzieckim naładowany jest energią nie tylko ideologii i woli odbudowy i przebudowy świata; rozporządza również siłą konkretnych środków materialnych, które służą realizacji ideologii, wprowadzeniu w czyn woli pokoju.

W epoce nacechowanej wspaniałymi dążeniami do odrodzenia ludzkości powstaje ruch oporu przeciw wojnie, formuje się międzynarodowy front pokoju. Na tym froncie ma wyznaczoną pozycję świat intelektualistów.

Poważny jest w akcji przeciwwojennej wkład myśli i woli polskiej. Płyną w Polsce fala za falą protesty, manifestacje za pokojem, chłopskich i robotniczych mas, które mogą rozwiązać najistotniejsze problemy życiowe, dokonać najważniejszych dzieł tylko w warunkach pokoju.

Symbol Kongresu Pokoju Picasso

Delegaci intelektualistów francuskich na Kongres Pokoju w New Yorku, którym władze amerykańskie odmówiły pozwolenia przyjazdu do USA. Od lewej: ks. Boulier, Mme Eugenie Cotton, Louis Aragon, Paul Eluard

Kazimierz Piwarski

Słuszna sprawa zwycięży

Miliony ludzi na świecie łączą się dzisiaj w obozie pokoju, stając na apel Międzynarodowego Komitetu Łączności Intelektualistów, zwołującego do Paryża Światowy Kongres Pokoju. To dopiero początek wielkiej mobilizacji światowych sił pokoju. Akcja musi jeszcze iść głębiej i szerzej, demaskując intrygi imperialistycznych podżegaczy wojennych, obnażając ich właściwe oblicze, uświadamiając w pełni milionom ludzi we wszystkich częściach świata, że prawdziwą ostoją pokoju jest ZSRR i stojące przy jego boku kraje demokracji ludowej. Chodzi o to, aby najszersze masy ludności we wszystkich krajach rozpoznały dokładnie, gdzie jest prawda, a gdzie fałsz i zakłamanie.

Wiadomo, że ZSRR od chwili swego powstania prowadził stale i niezłomnie walkę o pokój światowy, pragnąc poświęcić wszystkie siły sprawie budownictwa socjalistycznego, tworzenia lepszej przyszłości dla swoich narodów. W walce o pokój łączył swe wysiłki ze wszystkimi czynnikami postępu i demokracji na świecie, przeciwstawiając się intrygom kół monopolistów i imperialistów, dążących do rozpętania drugiej wojny światowej. W szczególności ostro i zdecydowanie przeciwstawiał się planom i akcjom agresywnym hitleryzmu i faszyzmu, nawołując do zorganizowania zbiorowego bezpieczeństwa i położenia tamy agresorom. Nie pomogły jednak wówczas wysiłki Związku Radzieckiego, nie pomogły jego ostrzeżenia, że uprawiana przez przybierających maskę demokratyczną monopolistów i imperialistów zachodnich polityka pobłażania wobec faszyzmu i hitleryzmu prowadzi nieuchronnie do ośmielenia agresorów i rozpętania katastrofy wojennej. W istocie bowiem kołom zachodnim chodziło nie o co innego, jak o posłużenie się faszyzmem i hitleryzmem jako narzędziem dla zwalczania sił postępu i demokracji, dla obalenia Związku Radzieckiego, dla powstrzymania marszu ludzkości do socjalizmu. W rezultacie stało się to, przed czym ZSRR stale ostrzegał: wzrost sił faszyzmu i hitleryzmu, a następnie rywalizacja między poszczególnymi imperializmami — bądź jawnie faszystowskimi, bądź też ukrywającymi się za parawanem pseudodemokracji — doprowadziła do wojny światowej, która o mało co nie spowodowała katastrofy cywilizacji. Dopiero triumf Związku Radzieckiego nad hitleryzmem uratował ludzkość od tej katastrofy, przyniósł wyzwolenie uciśnionym narodom, ocalił je od zagłady, jaką im gotowały reżimy faszystowsko-hitlerowskie.

Ledwie jednak tamta katastrofa została zażegnana, a już koła monopolistyczno-

kapitalistyczne pod egidą anglo-amerykańską gotują światu nową katastrofę, tworząc bloki polityczno-gospodarcze, skierowane przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej. Sabotując wszystkie rzetelne wysiłki utrwalenia pokoju na świecie i ustalenia nowego, sprawiedliwego porządku, starają się posiać zamęt w opinii światowej, miotając obelgi i oszczerstwa na ZSRR i kraje demokracji ludowej, szerząc psychozę wojenną, utrudniając stabilizację stosunków w świecie powojennym. A przecież jasną jest rzeczą, że ZSRR i kraje demokracji ludowej dążą do pokojowej rozbudowy swej gospodarki, do podniesienia dobrobytu i kultury szerokich mas swej ludności pracującej, że w ich interesie jest zachowanie i utrwalenie dzieła pokoju. Ich poczynaniami kieruje wiara niezłomna, że oddają w ten sposób najlepsze usługi nie tylko swoim narodom, ale całej ludzkości, bo przyszłość świata jest na drodze do socjalizmu.

Prawdę tę rozumieją coraz lepiej miliony ludzi na całym świecie, do jej pełnego poznania musi dojść cała ludzkość: ułatwią jej to czynniki postępu i demokracji, montujące dzisiaj światowy obóz pokoju, którego naczelnym hasłem jest demaskowanie kłamstw i fałszów, jest zaszczepienie w sercach ludzkich ziarna szczerej prawdy, jest wskazanie umysłom ludzkim linii wytycznych pokojowego, sprawiedliwego rozwoju, drogi do lepszego jutra całej ludzkości.

Kazimierz Piwarski

Zygmunt Mysłakowski

Ludzie pokoju

Przypisują duże znaczenie faktowi, że lewicowi intelektualiści całego świata organizują się, poznają wzajemnie, zwołują światowy kongres pokoju. Ich głos powinien być wyraźnie usłyszany obok głosu ludzi pracy fizycznej: nie chcemy wojny! Nie chcemy wojny o utrzymanie przywilejów klasowych, imperializmu finansowego, wyzysku człowieka przez człowieka!

Ludzie pokoju, robotnicy i intelektualiści całego świata, nie są dziś osamotnieni w walce o utrwalenie pokoju. Mają za sobą taką potęgę jak Związek Radziecki. Jest to jedyne mocarstwo, któremu wojna imperialistyczna musi być obca, którego główne zadania leżą w pracy nad budową społeczeństwa nowego typu. Wojna wypaczyłaby i odsunęła tylko ten naczelny cel. Żadne dzisiejsze państwo światowe nie ma przed sobą bardziej twórczej i płodnej idei, jak ta: budowania nowej, odpowiadającej rozwojowi nowoczesnych sił produkcyjnych, społeczności.

Dymitr Szostakowicz*)

By zjednoczyć nasze wysiłki

Zebraliśmy się tu ze wszystkich krańców ziemi, by zjednoczyć nasze wysiłki w walce z podżegaczami do nowej wojny grożącej wszystkim narodom niezliczonymi klęskami, grożącej zniszczeniem kultury, cywilizacji, nauki i sztuki — wszystkich zdobyczy ludzkiej myśli i twórczości. Powinniśmy zabrać głos w sprawie obrony pokoju, a wszyscy dobrze wiemy, że walka o pokój jest walką o postęp, twórczą pracę, demokrację, o przyszłość ludzkości.

Wiele milionów prostych ludzi na całym świecie zwraca wzrok na podobne naszemu kongresy. Wzrok ich jest trwożliwy, gdyż zbyt otwarcie agresywną jest działalność tej kliki mizantropów, którzy gorliwie i systematycznie przygotowują nową wojnę światową. Wzrok ich jest pełen nadziei, gdyż od nas, od ludzi twórczości artystycznej, od uczonych, pisarzy, artystów, działaczy społecznych zależy w wielkim stopniu, czy uda się odwrócić groźbę wojny, czy siły agresji zostaną rozbite a pokój uratowany. Daleko nam jeszcze do całkowitego rozwinięcia naszych sił i do wypełnienia naszego obowiązku obywatelskiego wobec ludzkości, wobec historii.

Siły, którymi dysponujemy, są wprost bezgraniczne, gdyż za pokojem opowiada się olbrzymia większość ludzkości — wszyscy ludzie pracy i twórczości, bez różnicy płci, wieku, zapatrywań religijnych, narodowości czy barwy skóry.

Wielka też jest nasza rola. Nas — to znaczy inteligencji artystycznej — artystów i muzyków. Zdecydowanie powinniśmy zabrać głos w sprawie pokoju, prawdy, ludzkości, dla przyszłości narodów. Nie wolno nam usuwać się na bok na tym decydującym etapie historii, nie wolno nam pocieszać się pustym złudzeniem, jakobyśmy byli postawieni ponad życiem, ponad toczącą się walką. Przeciwnie, powinniśmy zagłębić się w największy gąszcz życia, aby wywrzeć na nim swój wpływ, aby określić jego rozwój. Powinniśmy maszerować noga w nogę z postępowymi siłami ludzkości w pierwszym szeregu bojowników o pokój. Powinniśmy brać udział w tej walce za pośrednictwem naszej sztuki, za pośrednictwem jej treści, idei, obrazów, całej jej celowości.

Do silnych głosów wszystkich narodów powinniśmy przyłączyć piękny i potężny głos naszej sztuki, domagający się pokoju i demokracji. Nie zapominając ani na chwilę o niebezpieczeństwach wojny będziemy stopniowo rozbijać siły nienawiści, będziemy służyć wolności i postępowi. Nech nasza walka w imię pokoju, życia i godności ludzkiej — przeciwko wojnie, przeciwko śmierci i barbarzyństwu złączy i wzmocni nasze siły, niech służy dziełu prawdziwego odrodzenia oraz rozkwitu sztuki muzycznej naszej epoki.

*) Słynny kompozytor radziecki.

Jakub Litwin

SIŁA POKOJU

Ginące klasy niechętnie się uczą. Przechodzą mimo lekcji, jakich im udziela historia. Popełniają błędy — już popełniane. Politycy atlantyccy prowadzą dziś politykę, którą kiedyś prowadzili politycy „monachijscy“ — i która zaprowadziła ich... wiadomo, do jakich efektów.

Zapoczątkowali ją wcześnie. Gdy nad Berlinem unosiły się jeszcze dymy hitlerowskiej klęski, a nad Reichstagiem trzepotał czerwony sztandar — symbol rozumnej, dalekowzrocznej, pokojowej polityki. Gdy Europa zmęczona wysiłkiem i brutalnością wojny wdychała głęboko pierwsze powiewy pokoju. Gdy ziemia, zduszona faszystowskimi butami, czołgami i armatami wypuściła pierwsze plony pokojowej pracy. Gdy narody Europy miast — „będzie pokój“ powtarzały „jest pokój“ i głęboko wierzyły, że pokój nie zostanie już nigdy naruszony.

Już wtedy, wśród dzwonów pokoju rozległy się pierwsze zgrzyty „zimnej wojny“ — i rosły bezustannie. Mowa Byrnesa przeciwko naszym granicom zachodnim, agresywne przemówienie Churchilla, dziesiątki zerwanych konferencji, na których ministrowie imperializmu z wyrachowaniem przecinali wszelkie możliwości porozumienia, plan Marshalla, słusznie nazwany planem grabieży, wzrastająca odbudowa potencjału wojennego Niemiec — i znów dziesiątki zerwanych przez imperialistów konferencji pokojowych i dziesiątki innych konferencji, na których ministrowie imperialistyczni montowali agresywne bloki wojenne, a w końcu „pakt atlantycki“. To wszystko działo się w tym samym czasie, gdy „socjalistyczni“ ministrowie we Francji i „chrześcijańscy“ ministrowie we Włoszech coraz częściej strzelali do robotników i chłopów, gdy deputowani Wall-Street w Waszyngtonie uchwalali dekrety antyrobotnicze i ustanawiali komisje antydemokratyczne, a spółka imperialistyczna wszystkich krajów topiła we krwi ruchy wolnościowe Grecji, Hiszpanii, Vietnamu, Indochin, Burmy, Malajów, Europy, Azji, Afryki, Ameryki.

Jakże cynicznie kłamią ministrowie „atlantyccy“, mówiąc, że pakt atlantycki oznacza pokój i wolność! Bo niszcząc pokój — mówić o pokoju, niszcząc wolność — mówić o wolności, zawierając pakt wojny — mówić, że jest to pakt pokoju — to więcej niż egoizm i więcej niż zakłamanie. Sądzić, że narody uwierzą w to kłamstwo i nie będą go zwalczać wszelkimi siłami — to więcej niż samozakłamanie.

Ale równolegle do wzrastających knowań agresorów wzrastały bezustannie siły pokoju. Zgrzyt „zimnej wojny“ nie przygłuszył dzwonów pokoju. Trudno jest bowiem okłamać narody, które zbyt dobrze znają smak imperializmu, a jeszcze trudniej jest okłamać klasę robotniczą, której przywodzą partie robotnicze uzbrojone w wielką teorię marksizmu-leninizmu.

Gdy kiedyś OBRONA POKOJU oznaczała słaby, sentymentalny, niezaradny pacyfizm, dziś siła pokoju ma charakter realny, twardy i zdecydowany. Pokój jest siłą — nie słabością — bo za pokojem stoją milionowe masy prostych ludzi na całym świecie, milionowe masy robotników i chłopów, pracowników fizycznych i umysłowych, miliony ludzi, którzy do okrzyku „precz z wojną“ dorzucają „będziemy bronić pokoju“.

Gdy w Waszyngtonie wielcy i mali ministrowie państw kapitalistycznych podpisywali pakt atlantycki — we Francji i we Włoszech, w Anglii i w Ameryce, w Belgii i Stanach Zjednoczonych, w krajach demokracji ludowej i Związku Radzieckim, w walczących Chinach i w walczącym Vietnamie, w południowej Afryce i w północnej Norwegii — wszędzie, na całym świecie — wzmożono akcję obrony pokoju. Gdy ministrowie państw atlantyckich kładli w Waszyngtonie podpisy pod atlantycki pakt zdrady narodowej, narody oświadczyły, że nie uznają prawomocności ich postępowania. Gdy Bevin na bankiecie wydanym na cześć paktu atlantyckiego wygłaszał mowę pochwalną, rząd „socjalistycznego“ premiera Attlee wydał zakaz pochodu pierwszomajowego. Dlaczego?

Czy bałby się obchodu na rzecz pokoju polityk, który rzeczywiście broni pokoju? To jest tylko dowód, że pokój imperialistycznego kłamstwa jest przeciwstawny pokojowi mas ludowych.

Ale narody nie chcą pax americana, który oznacza „pokój“ grabieży, wyzysku i nędzy — i nie uznają zdrady swych ministrów na rzecz pax americana, i nie chcą wojny, którą rodzi pax americana.

Nie chcą jej matki, dla których wojna oznacza śmierć synów, nie chcą synowie — którzy muszą ginąć w imię nie swoich interesów. Nie chcą kobiety — dla których wojna oznacza śmierć mężów, nie chcą mężczyźni — którzy muszą odejść od swych rodzin, żon, dzieci i od swej pracy, nie chcą robotnicy, których burżuazja wysyła zawsze na pierwsze linie frontu, nie chcą chłopi, dla których wojna oznacza ruinę ich dobytku, i nie chcą inteligenci, dla których wojna oznacza zniszczenie ich dorobku kulturalnego i naukowego. Wojny nikt nie chce.

Wojny nikt nie chce.

Nikt, prócz imperialistów i podżegaczy wojennych, którzy pokój uważają za bardziej niebezpieczny od wojny. Sądzą, że wojna ocali ich majątki i pozycję klasową. Zapominają, że ich polityka wzmaga opór klasy robotniczej i mas ludowych, a podżeganie do wojny — rodzi wojnę wojnie!

We wspólnym froncie pokoju, który oznacza obronę najwyższych osiągnięć kultury ludzkiej i najprostszych elementów prywatnego życia człowieka stają całe narody. Przeciwko rodzimym i obcym podżegaczom wojennym, których polityka, niby jakaś siła fatalna, ciąży do rozlewnych wód Atlantyku, choć niejednokrotnie muszą doń docierać poprzez terytoria innych narodów, które tak samo, jak ich narody nie chcą wojny. Ale nie do Atlantyku dążą zachodnio-europejscy politycy, lecz do Waszyngtonu, od którego spodziewają się wsparcia. Przeciwko czemu? Przeciwko swym narodom, które nie chcą wojny i imperializmu, przeciwko idei nowego społeczeństwa, przeciwko idei komunizmu, który oznacza obronę pokoju, pracy, wysiłku człowieka wszystkich ras i wyznań.

Ale ministrowie, którzy knują wojnę, wiedzą nazbyt dobrze, że pragnienie wojny bynajmniej jeszcze nie oznacza możliwości zrealizowania wojny. I z goryczą w sercu muszą przyznać, że na kalendarzu historii pomnażają się bezustannie liczby ich niepowodzeń i klęsk. Klęski Czang-Kai-Szeka w Chinach odbiły się głośnym echem w Waszyngtonie i w Londynie, w Grecji mali sługusi wielkiej Ameryki nie mogą złamać bohaterskich wojsk ludowych, nad krajami Azji coraz jaskrawiej płoną łuny walk narodowo-wyzwoleńczych, autorytet Związku Radzieckiego wzrasta w opinii narodów w stosunku proporcjonalnym do spadku autorytetu podżegaczy wojennych, siły komunistów w Europie Zachodniej wzrastają i krzepną. Zaprawdę, koło historii toczy się wyraźnie przeciwko woli imperialistów.

Do Paryża napływają bezustanne akcesy na Kongres Pokoju. Przeszło pół miliarda ludzi wypowie w Paryżu poprzez swych przedstawicieli wolę pokoju. We francuskim Paryżu, nieopodal którego mieści się również francuski Fontainebleau, oddany przez francuski rząd do dyspozycji obcych sztabów wojskowych. Imperialistyczni sztabowcy będą się mogli naocznie przekonać, co oznacza SIŁA POKOJU. Być może zrozumieją, że jak dotąd i zapewne długo jeszcze plany wojenne, które opracowują nie przekroczą progów ich gabinetów — tak cichych i spokojnych, jak zbrodnicze są ich knowania. Być może zrozumieją, że ofensywa pokoju, na czele który stoi bohaterski Związek Radziecki, pogromca hitlerowskiego „nowego ładu“ — rozlewa się coraz szerszymi kręgami po całym świecie.

Wielomilionowy głos pokoju przeniknie do ich „cichych i spokojnych“ gabinetów i zakłóci nie pracę — KNOWANIA!

Jan Nagrabiecki

ODBUDOWA

Mróz w lśniących rękawicach
gładzi białe drzewa i domy,
latarni krąg blednie czerwony,
świt ma niebieską twarz.

Człowiek w czarnej bluzie miesza kolory
i jest lepszy od ojca.
Napięciem rąk buduje
ciepły pokój.

Nie znamy jego rąk
w rękach lśniącego mrozu,
nie znamy jego twarzy
z wąsami jak dwie brzozy.

Świat jaśnieje jego uśmiechem.
Belko u jego rąk, bądź mu lżejsza!
Cegło w jego dłoni, fruwaj
na niebieskim polu!

Dom wschodzi różowych cegieł. A oni,
ojcowie ludu ogrzewają palce.
Latarnią noc jak maj ogrzewa,
ale cieplej w zbudzonym domu

z różowych cegieł.
Dłonie zakwitną książką,
radiowy śpiewak narysuje białe drzewa
i radio zapali się melodiami jak wstążki.

Maria Janion

POWIEŚĆ O CHŁOPSKIM BUNTOWNIKU

(„Jarema" Jana Zacharyasiewicza)

Powieść chłopska stanowi jedną z najciekawszych formacji literatury polskiej. Wokół wielkiej sprawy społecznej, głównej sprawy historii Polski w ciągu licznych dziesięcioleci, narosły geologiczne pokłady wstecznych i postępowych ideologii, tendencji politycznych i artystycznych konwencji. Doniosłość problematyki i stosunkowo wczesne tradycje gatunku sprawiły, że dziewiętnastowieczna powieść chłopska stanowić może interesujące kompendium zarówno społecznej historii XIX wieku, jak i dziejów polskiej powieści. Powieść chłopska zanotowała wiernie doniosły fakt, jakim stał się upadek feudalnej struktury społecznej Polski, stopniowe zejście z widowni dziejowej ziemiaństwa, powstanie nowego układu społecznego, w którym chłop poczyna odgrywać coraz bardziej samodzielną rolę. Postępowa i wsteczna powieść chłopska stała się terenem, na którym obserwować można przełamywania się rozmaitych konwencji literackich, różnych stylistycznych formuł losu ludzkiego. W pożółkłych, zapomnianych tomikach powieściowych XIX wieku, obok których przechodzi obojętnie współczesna publiczność czytająca, odgrzebujemy dziś żywe sprawy minionych dziejów, losy ludzkie, kształtowane układem centralnych problemów epoki, rozstrzygających o obliczu wielu lat historii. Wśród dziewiętnastowiecznych powieści chłopskich, zapomnianych dziś prawie doszczętnie, na specjalną uwagę zasługuje powieść z lat 60-tych o buncie chłopskim w Galicji Wschodniej — „Jarema" Jana Zacharyasiewicza.

Epoka krwawych rozruchów chłopskich z rzadka dostarczała wątku powieściom współczesnym. Solidaryzm literatury szlacheckiej czy mieszczańskiej skłaniał raczej do uchylenia się od obrazu ostrych konfliktów społecznych. Gdy T. T. Jeż poruszył w „Hryhorze Serdecznym" temat powstania chłopskiego na Ukrainie w r. 1856, problematykę socjalną — sformułowaną dość radykalnie — przysłonił fałszywym antagonizmem narodowym chłopstwa ukraińskiego w stosunku do Rosji.

Zacharyasiewicz podjął w „Jaremie" rzadko poruszaną przez pisarzy lat 50—70-tych problematykę społecznych i politycznych przekształceń popańszczyźnianej wsi galicyjskiej. Tradycyjna historia literatury wysuwa natomiast na czoło jego utworów powieści obrazujące zagadnienia narodowościowe na ziemiach polskich w wieku XIX („Na kresach" — germanizacja Polaków w Wielkopolsce, „Święty Jur" — kiełkowanie narodowego ruchu ukraińskiego).

Droga pisarska Zacharyasiewicza interesuje jako przejaw ewolucji ideologicznej galicyjskiego drobnomieszczaństwa.

Radykalny drobnomieszczanin, z dwukrotnie odsłużoną „powinnością więzienną" za konspiracje gimnazjalne i publicystyczne przestępstwa w okresie 48-9, przechodzi w latach następujących po Wiośnie Ludów na pozycje coraz bardziej reakcyjne. Drobnomieszczańska niechęć do przewrotu wielkokapitalistycznego cechuje powieści z lat 70-tych, podejmujące moralistyczną krytykę kapitalizmu. Wywołały one żywe protesty w obozie „młodych". Pozytywiści napiętnowali Zacharyasiewicza mianem „pseudopostępowca". Zwłaszcza „Człowiek bez jutra" na równi z antykapitalistyczną powieścią Kraszewskiego „Dzieci wieku", stał się przedmiotem ostrych ataków. Lekceważeniem i kpinkami przyjmowano obyczajowe powieści Zacharyasiewicza z tego okresu, które Chmielowski nie wahał się nazwać plotkarskimi i adresowanymi do niewybrednego czytelnika. Stereotypowy wątek tych romansów — dzieje zacnego, a naiwnego młodzieńca nie znającego świata, który dla pokus wielkiego miasta zapomina o spokojnym szczęściu wiejskiego zacisza i czekającym go wiernie dziewczęciu z dworku czy plebanii — nie na próżno odczuli pozytywiści jako wsteczny. Cywilizacji miejskiej przeciwstawia się wzór życia skromnego dworku wiejskiego. Powieści chłopskie Zacharyasiewicza kształtuje również gloryfikacja patriarchalnych stosunków między dworem a chatą.

Mimo tego tradycyjnego typu rozwiązania konfliktów społecznych powieści Zacharyasiewicza, zwłaszcza „Jarema", wyróżniają się na tle dojrzalszej artystycznie, a nawet ideologicznie, chłopskiej powieści pozytywizmu, przez wyraźne dostrzeżenie antagonizmów między dworem a wsią popańszczyźnianą.

Reforma uwłaszczeniowa zdezaktualizowała w literaturze dobrze znany wątek obrony chłopków przed niesprawiedliwością systemu pańszczyźnianego oskarżonego bodaj z większą pasją niż dwór pański. W ideologii pisarzy liberalno-szlacheckich i mieszczańskich zniesienie pańszczyzny stanowiło ostateczne rozwiązanie sprawy włościańskiej. Nie chciano uznać nowego konfliktu społecznego, jaki powstał między obszarniczym folwarkiem a chłopską parcelą, między kułacką warstewką nowej wsi a pauperyzującym się chłopem małorolnym. Chłopska powieść pozytywizmu albo neguje istnienie wrogości między dworem a wsią w obrazie solidarystycznej sielanki, albo składa konflikty te na karb niedorozwoju czy chorobowych stanów nowego systemu społeczno-ekonomicznego. Możliwości parcelacyjne, jakie stanęły przed wsią Królestwa, stały odpływ biedoty wiejskiej do przemysłu przy równoczesnym powstawaniu wiejskiego kułactwa, stwarzały pozory istnienia naturalnych regulatorów, które drogą selekcji elementów silniejszych wytworzą prawidłową strukturę wsi w nowym systemie. Wieś Królestwa pozwalała w większej mierze tuszować antagonizmy ziemiańsko-chłopskie i magiczną formułką „ciemnoty" maskować istotny stan ekonomiczny wsi.

Inaczej działo się na wsi galicyjskiej. Uwłaszczenie chłopów stworzyło drobne gospodarstwa rolne, które rozpadały się drogą działów rodzinnych na niewielkie spłachetki ziemi, nie mogące dać rodzinie chłopskiej najnędzniejszego utrzymania. Droga odpływu nadmiaru sił roboczych do miast była zamknięta wskutek braku wielkiego przemysłu. Parcelację ziemi dworskiej uniemożliwiało ubóstwo chłopa, pozbawionego wszelkich zarobków dodatkowych. Przeludniona wieś galicyjska wegetowała w skrajnej nędzy, dusząc się na swych poletkach, podczas gdy w ręku 3 tysięcy rodzin szlacheckich pozostawało 40 proc. posiadłości ziemskich kraju. Punkt zapalny stanowiła sprawa serwitutów. Prawo do wyrębu pańskiego lasu i wypasu chłopskiego bydła na pastwisku dworskim zostało zniesione przez reformę uwłaszczeniową. Wobec poważnej roli, jaką w drobnych gospodarkach chłopskich odgrywała hodowla bydła dochodowego, było to prawdziwą klęską dla wsi. Głód ziemi uprawnej zmuszał do zaorywania części pastwisk gminnych i karczunku lasów. Chłopi podnieśli żądanie lasów i pastwisk dworskich. Było ono powodem niezliczonych procesów gromadzkich z dworem, stanowiło naczelne hasło polityki ludowej przez wiele lat i w Galicji, gdzie tradycje powstań chłopskich były wciąż żywe, groziło stale wybuchem rozruchów społecznych. Mieszczańska powieść galicyjska nie mogła przejść do porządku nad zaognionymi stosunkami między dworem a wsią. Podjęcie sprawy serwitutów, śliskiej i kryjącej w sobie momenty rewolucyjne, umożliwiała sytuacja polityczna Galicji, gdzie odpowiedzialność za niedomagania systemu łatwo było przerzucić na czynnik, dezorganizujący naturalną współpracę społeczeństwa: na austriacką politykę „divide et impera".

W narracji Zacharyasiewicza o losach Nowejwsi uderza — poza tuszowaniem istotnych przyczyn konfliktu społecznego — zupełne abstrahowanie od konfliktów narodowych i religijnych, dzielących ruską wioskę od katolickiego dworu polskiego. Zacharyasiewicz nie wspomina nawet, do jakiego obrządku należą chłopi nowowiejscy. Niemczyźnie przeciwstawia jakąś nieokreśloną bliżej „swojskość", która nie ma charakteru programowego panslawizmu, a tylko usuwać ma wszystko, co mogłoby stanowić podstawę antyziemiańskiej ideologii chłopskiej. Przemilczenie konfliktów tego typu jest tym bardziej wymowne, że jest to okres budzenia się nacjonalizmu rusińskiego, z kórym walkę podejmuje Zacharyasiewicz w powieści „Święty Jur".

Analiza stosunków na wsi galicyjskiej dokonana została przez Zacharyasiewicza na tle losów Jaremy Magdziaka, chłopa ruskiego z wioski nad Sanem. Biografia buntownika, rejestr jego krzywd i klęsk życiowych, wyznacza linię motywacyjną, tłumaczącą podjęcie przezeń protestu przeciwko panującemu porządkowi społecznemu. Postać Jaremy nie stanowi jednak socjologicznego wzoru losów chłopa galicyjskiego. Historia jego konfliktów z dworem nie jest reprezentatywna dla normalnego układu stosunków między wsią a panem. W nich bowiem nie dopatruje się Zacharyasiewicz zarodków wrogości chłopów wobec ziemiaństwa. Bunt chłopski otrzymał uzasadnienie psychologistyczne. Jednostkowa, spowodowana wieloma nieporozumieniami i przypadkami krzywda Jaremy oraz szatańska polityka austriacka, siejąca nienawiść do dworu — oto czynniki popychające chłopstwo do buntu. „Jarema" jest w swych tendencjach powieścią o ciemnocie ludu, ogłupianego zarówno przez przewrotną politykę austriacką, jak i przez przygodnych drobnych „podżegaczy".

Winowajcy ruiny zbuntowanej Nowejwsi to ludzie stojący na różnych szczeblach austriackiej drabiny administracyjnej: młody urzędnik — później starosta okręgowy; usunięty za szacherki kancelista, trudniący się rentownym procederem „chłopskiego adwokata"; wreszcie woźny Huber, z czasem naganiacz „mecenasa". Głównym inspiratorem jest zazwyczaj ukryty za kulisami starosta. Zmierzając do utrzymania panowania austriackiego w Galicji musi zachować trudną równowagę między zaborczymi interesami polityki austriackiej w Galicji, wymagającymi działalności przeciw szlachcie polskiej, a interesami wielkiej własności ziemskiej, stanowiącej klasową bazę monarchii habsburskiej.

„Jarema" obrazuje stosunki galicyjskie w momencie przełomowym. Po uwłaszczeniu coraz wyraźniej zaczyna się zaznaczać sojusz między ziemiaństwem a państwem. Zalążki ugodowej polityki szlachty galicyjskiej pojawiają się już w tych latach. Narastanie radykalnych ruchów ludowych scementuje później przymierze monarchii austriackiej i polskiej wielkiej własności. Administracja państwowa, judząc na wszelki wypadek wieś przeciwko ziemiaństwu, jednocześnie ostro rozprawia się z każdym przejawem chłopskiego protestu społecznego. Jarema pada ofiarą perfidii starosty, który wynosi go na wójta, łudzi obietnicami poparcia walki o „lisy i pasowyska", utwierdza w przekonaniu o słuszności chłopskich praw, by potem brutalnie zdusić próbę przeparcia siłą interesów gromady i potraktować buntowników jak zbrodniarzy. Szansę historyczną wsi widzi Zacharyasiewicz tylko w poddaniu się chłopów pod ojcowską kuratelę dworu.

Biografia Jaremy, przywódcy nowowiejskiej gromady, zawiera, oprócz rejestru jego żalów do dworu, kilka interesujących rysów edukacji buntownika. Jarema, oddany „w sołdaty", powraca po latach do gromady jako wysłużony żołnierz, wyga i obieżyświat. Wśród etapów rewolucyjnych doświadczeń Jaremy notuje Zacharyasiewicz kampanię włoską i węgierską. „Wysłano go do Włoch; potem był w Wiedniu podczas tamecznych wypadków; na koniec odbył kampanię węgierską — a wszędzie znalazł żywioły podsycające tradycyjną niechęć syna ludu przeciw tym, w których uczono go widzieć ciemiężców". Nieco dziwna u zaciętego wroga Austrii i patrioty polskiego może się wydawać antypatia, z jaką odzywa się o wielkich rewolucjach narodowych uciemiężonych przez Austrię krajów, antypatia, wywołana ich radykalnym obliczem społecznym. Realne interesy klasowe zahamowały tu entuzjazm dla walki wyzwoleńczej innych narodów.

Biografia Jaremy miała na celu ukazanie jego ślepej zależności wobec podszeptów austriackich opiekunów. Konflikt klasowy przedstawił Zacharyasiewicz jako pozorny, przynoszący tylko rujnację Nowejwsi na długie lata. Tendencja autora zmierza do przeforsowania zasady wspólnoty interesów dworsko-gromadzkich. Mimo wstecznej koncepcji autorskiej uderza radykalny język relacji o sprawach gromadzkich, nowoczesność ujęcia odpowiadająca nowemu układowi sił społecznych, w którym chłopi zaczynają świadomie odgrywać rolę coraz istotniejszą. Równocześnie jednak partie powieści, ukazujące stanowisko dworu, utrzymane są w konwencjach szlacheckiej powieści obyczajowej, operują tradycyjnymi postaciami „z polskiego dworku", schematycznymi sytuacjami. Karkołomne założenie ideologiczne: ukazania naczelnego konfliktu klasowego epoki jako **pozornego**, opartego na tragicznych nieporozumieniach społecznych, podsycanego wrogą agitacją — zmuszało do **podwójnej relacji** każdego z podstawowych faktów powieści, do wskazywania na narastanie pomyłek, złudzeń i nieporozumień, które utrudniają współżycie społeczne. (Np. relacja o oddaniu do wojska Jaremy; Jarema — za podszeptem „podżegacza" — ma o to pretensję do dworu; dwór natomiast nie miał wobec niego żadnych złych intencji. Fakt ten opowiadany jest w powieści dwa razy: z pozycji dworu i z pozycji Jaremy).

Typ narracji dworsko-gromadzkiej zdradza zasadnicze pęknięcie formalne, będące wynikiem ideologicznego zafałszowania rzeczywistości. Obok wiedzy o nowych funkcjach politycznych wsi, ukazanych zwłaszcza w opisie wyborów, zrelacjonowanych klasowym językiem nowych interesów chłopa, obok obrazu — zadokumentowanego z okazji klęski wyborczej ziemianina-ekspułkownika — wzrostu świadomości klasowej i politycznej chłopów, natykamy się stale na sztucznie doczepioną zasadę solidaryzmu społeczno-narodowego i patriarchalnego patronatu dworu, wyrażoną w przestarzałych konwencjach powieści szlacheckiej.

(Dokończenie na str. 4)

Jan Zacharyasiewicz

„LISY I PASOWYSKA!"

(z powieści p. t. „Jarema")

Ogłoszono, że sejm konstytucyjny ma się zebrać we Lwowie i radzić nad dobrem kraju. Wieść ta wszystkich napełniła radością.

Wyznaczono czas wyborów na posłów do tego sejmu, i prace przygotowawcze natychmiast przedsięwzięto.

Zaczęły się agitacje, pozawiązywały komitety, przedstawiono kandydatów i zaczęto w ich imieniu agitować. Po miastach zbierały się sekcje, na prowincji delegaci gromad i miasteczek.

Gromada nowowiejska przyjęła wiadomość o sejmie zrazu z bojaźnią; powoli jednak uspokojono się, a gdy Huber i mecenas powiedzieli im, że mogą wybrać do sejmu, kogo chcą i w kim największe zaufanie pokładają, byli nawet kontenci z tego, że będą mieli sposobność upomnieć się publicznie o swoje krzywdy prywatne. Wyższego wyobrażenia o sejmie i interesach krajowych nie miała gromada Nowejwsi, która w tym względzie podobną była do każdej innej galicyjskiej gromady.

Wreszcie i dla gromady Nowejwsi nadszedł czas wyborów.

W tym celu mieli się zejść wyborcy w najbliższym miasteczku, które także, razem z kilku gminami, jednego posła obrać miało.

Prosty rozum chłopów dyktował im, aby chłopa wybrać. Mieli oni do niego największe zaufanie, a w razie zawodu, mieli także i pewne prawo regresu, czy raczej sposobności do regresu.

Wszystkie więc gromady miały gotowych już kandydatów. A kandydatem takim zazwyczaj był chłop, używający w gromadzie największego poważania. Musiał to być dobry gospodarz, silny w pięści i odważny, i musiał dać dowody, że dobro gromady nade wszystko ceni. Musiał jej wygrać jakiś procesik, a przynajmniej mieć sławę człowieka, który, gdy tego potrzeba, wszystkiego dokonać może. Przymiotów zaś tych nabywał w gromadzie różnym sposobem. Jeśli udało mu się w krótkim czasie przysporzyć majątku, jeśli zręcznym sposobem kogo wydziedziczył, a do tego jeszcze był w wojsku i nie przyszedł do wsi „szubpasem", to już mógł liczyć na całą gromadę. Mały epizodzik życia, który przepędził w areszcie lub czasem w kryminale, nie wchodził w rachubę gromady, bo gromada jest tego przekonania, że nieszczęście nie chodzi po lasach, tylko po ludziach.

Ale nie każda gromada ma takiego męża zaufania.

Często kilka gromad składa się na takiego człowieka, a wtedy jest on u nich prawdziwym królem. A człowiek taki zawsze udaje, że nie stoi sam jeden; mówi zawsze do nich, że ktoś jest za nim; a mówi to w sposób tak tajemniczy, że gromady tylko instynktem znaczenia tych słów odgadywać muszą.

Między gromadami, które z Nowąwsią głosowały, było kilku takich mężów zaufania; ale nad wszystkich wznosił się Jarema rozgłośną sławą. Skupili się więc wszyscy koło niego, jak kurczęta koło kwok, gdy się obawiają jastrzębia.

A jastrzębiem tym był w tej chwili w ich oczach kochany nasz pułkownik. Na długich nogach, z wysokim halsztukiem, wszedł między nich i polecił się im na kandydata. Już sama postać pułkownika i jego bekiesza z ogromnymi guzami nie podobała się gromadom, a gdy jeszcze zaczął mówić o swoim wojskowym zawodzie, o bitwach, w których walczył, o Napoleonie i Samosierze, dodawszy do tego niektóre aforyzmy o przemyśle i naukach, gromady mu nie dały dokończyć, wołając, że takiego posła nie potrzebują.

Po nim wystąpił dziedzic z Zamszyna, człowiek bogaty i prawych zasad obywatelskich. Mówił wiele o różnych sprawach; ale także jakoś w myśl gromady trafić nie umiał.

Delegaci gromad naradzili się między sobą i zgodzili się w tym, że nie mogą obierać dziedzica, ani żadnego pana, bo pan nie będzie nigdy bronił interesów gromady.

Przed wyborców wystąpił z kolei proboszcz obrządku łacińskiego z Zagrody, którego znamy z dworu nowowiejskiego. Mówił bardzo pięknie i cytował prześlicznie urywki z Pisma Świętego, zachęcające do zgody i wzajemnej miłości.

Ale wyborcy pokiwali głowami i rzekli, że w tym wszystkim nie widzą interesu gromad. Naradziwszy się więc między sobą, powiedzieli, że muszą wybrać włościanina na posła, a tym ma być Jarema, który zna drogę do Lwowa i do Wiednia, a u pana starosty w wielkim jest zachowaniu.

Lecz kiedy tak mówiono, zjawił się na arenie nowy zapaśnik. Kandydatowi temu przygotowano już nieco drogę.

Był to wikary z sąsiedniej wioski. Występował on jako kandydat stronnictwa ludowego i miał też największe widoki powodzenia.

Nowy ten kandydat był słusznego wzrostu, chudy, z wystającymi na twarzy kośćmi. Włosy czarne, kędzierzawe i oczy szybko biegające oznaczały gorący temperament.

Mówił długo o rzeczach dawnych i nowych; ale gromady nie słuchały ani dat historycznych, ani aforyzmów, i powtórzyły tylko chórem, co im mówca powiedział:

— Lasy i pastwiska!...

Wtedy Jarema wystąpił z tłumu i blady z rozrzewnienia ozwał się:

— Hromady! ten człowiek dobrze mówi. Niech idzie do Lwowa. Umie czytać i pisać...

Tak piękna rezygnacja, świadcząca o dobrym gruncie ludu naszego, zaimponowała gromadom. Mowa wikarego podbiła ich serca, ale Jaremie przyobiecały dać głosy. Dobrowolne jego ustępstwo zjednało mu sławę.

Radzili między sobą wyborcy czas niejaki, a że u włościan naszych nad wszystko inne przeważa nieufność, więc zgodzili się na to, aby wikaremu dać głosy na posła, a Jaremę, jako kontrolera i odpowiedzialnego gromadom za to, co się we Lwowie stanie, wspólnym kosztem wysłać do Lwowa.

A kiedy w kilka godzin potem z urny wypadł rezultat i wikary jako poseł ogłoszony został, zabrzmiały pod niebo okrzyki włościan i w całym kraju ozwało się echem:

— Lasy i pastwiska!

Wszechwiedza autora, który stale wyjaśnia stworzone przez siebie obrazy rzeczywistości i przy pomocy formalnych werdyktów popiera w komentarzu ideologiczne racje dworku, niewiele wzmaga siłę dowodową narzucanego systemu.

Nakreślony obraz dworku, któremu przyznać pragnie Zacharyasiewicz prawo i obowiązek kurateli nad wsią, nie przemawia na korzyść teorii o społecznej dominacji szlachty. Dworskie stronnictwo w Nowejwsi nie jest w stanie nic wysunąć przeciw sile gromady zdecydowanej, pełnej ducha bojowego, posiadającej wybitne indywidualności jako przywódców. Zacna wdowa, która zalewa się łzami w szkółce wiejskiej, widząc postępy uczniów w nauce, a w domu nie może sobie dać rady z gospodarstwem, skromny i szanujący starszych pan Władysław, panna Jadwisia, podobna chmurce wiosennej, wreszcie pułkownik-impetyk i ksiądz-moralizator (wystąpienie tych dwóch ostatnich, jako kandydatów na posłów chłopskich w momencie najwyższego napięcia walki gromady o serwituty, wywołuje niezamierzony efekt komiczny) — cała tradycyjnie swojska załoga dworku w chwili wybuchu konfliktu ustępuje miejsca bagnetom, austriackim, by po ostatecznej ruinie wsi i osadzeniu w więzieniu kilkunastu chłopów oświadczyć ze łzami chrześcijańską gotowość popierania nadal szkółki wiejskiej. Rażący fałsz ideologiczny w obronie idealnego dworku, wzmagany tradycyjnym, ogranym artystycznie typem stylizacji, stanowi ostry kontrast z zarysowanymi realistycznie sprawami wsi.

Mimowolne uznanie dla nowej siły politycznej, jaką stanowi wieś, sprzeczne jest z teorią zasadniczej „małoletniości" chłopa. Akcentowana przez Zacharyasiewicza niedojrzałość i niesamodzielność polityczna chłopa koliduje z wieloma scenami powieści. Nic z komizmu tradycyjnych gadek szlacheckich o Maćku-prostaku zaplątanym wśród „panów", nie ma w opowieści o Jaremie, jadącym do Lwowa na sejm krajowy, by pilnować posła gromadzkiego (radykalnego wikarego) i zasiadającym w karmazynowej loży obok jakiejś hrabiny. Opis nabiera nawet niezamierzonego patosu: „Za kilka dni wyjechał wikary do Lwowa, a wszystkie okoliczne gromady odprowadzały go aż po kopce ostatniej wioski, której był posłem. Obok wikarego jechał Jarema, w nowej sukmanie i dużych, po kolana sięgających butach. Z całego zachowania się gromad widać było, że on właściwie był bohaterem tych wszelkich owacji, milczącym Mojżeszem, gdy wikary był tylko wymownym Aaronem".

Mimo wysiłków komentarza autorskiego, zmierzających do przedstawienia ruchu chłopskiego jako ślepego narzędzia polityki austriackiej, obraz dążeń wsi sugeruje potęgę nowej siły społecznej i potwierdza jej historyczne racje walki. Tak napór rzeczywistości rozbił w powieściowym przedstawieniu życia ograniczoność klasowego widzenia.

Maria Janion

Tadeusz Orlewicz

Pierwszy kwartał 1949 r.

Pierwsze miesiące bieżącego roku przyniosły szereg ważnych wydarzeń w gospodarce świata. Mamy przede wszystkim ocenę rocznej blisko działalności planu Marshalla w Europie, jesteśmy świadkami rozległych dysproporcji i sprzeczności ekonomicznych w krajach kapitalistycznych z USA na czele. Jednocześnie obserwujemy dalszy rozwój gospodarki narodowej ZSRR i krajów demokracji ludowej, rejestrujemy pogłębienia współpracy gospodarczej pomiędzy tymi krajami. Przedłożone budżety państwa i dyskusja w związku z nimi wykazały, że prawdziwa troska o utrzymanie pokoju i prawdziwa troska o człowieka nie jest brana pod uwagę w aktualnej polityce USA. Wyrazem istotnych dążeń imperializmu jest również jego stosunek do problemu niemieckiego, do sprawy japońskiej, a szczytowym dla ubiegłych miesięcy punktem w tej taktyce t. zw. pakt północno-atlantycki, pakt agresji.

Plan Marshalla okazał się planem grabieży państw zachodnio-europejskich. **Francja** stoi w obliczu trzeciej dewaluacji w ciągu ostatnich 15 miesięcy. To się nie nazywa w języku kapitalistycznych ekonomistów dewaluacją, ale tam nosi skromną nazwę „wyrównania kursów". W styczniu 1948 roku ustalono oficjalny kurs franka w stosunku do dolara jak 214:1, oznaczało to, że Amerykanin mógł znacznie taniej kupować towary francuskie, ale za to Francja musiała drożej płacić za wszystko, co przychodzi z USA. W październiku ubiegłego roku znowu dokonano „wyrównania". Ustalono nowy kurs dolara, a raczej funta sterlinga i w konsekwencji konsument francuski musiał płacić o nowe 23 procent drożej za artykuły importowane z krajów marshallowskich.

Zapowiedziana nowa dewaluacja osłabi nadal siłę nabywczą francuskich klas pracujących. Deficyt budżetu państwowego rośnie, chociaż starano się o przywrócenie równowagi przez wprowadzenie nowych obciążeń podatkowych na łączną kwotę 140 miliardów franków, przez rozpisanie pożyczki wewnętrznej, obliczonej na 100 miliardów franków. W obliczu nowej dewaluacji subskrypcja pożyczki idzie niezwykle opornie, wpływy podatkowe kształtują się niżej oczekiwań.

W lutym br. wskaźnik cen na produkty żywnościowe skacze o dalsze 42%. Pod presją USA zmniejsza się wydajność produkcyjną, zwłaszcza w tych gałęziach przemysłowych, które stanowią konkurencję dla przemysłu USA. Francja przeżywa liczne strajki i stałą nieustępliwą walkę robotników o godziwy zarobek.

Stosunek USA do Francji ujawnił się ostatnio w pełni w sprawie „państwa" zachodnio-niemieckiego, zwłaszcza zaś w sprawie Zagłębia Ruhry, oraz w pozornie drobnym fakcie, tym razem niezręcznie zahaczającym o Polskę, a dotyczącym sprzedaży Polsce przez Francję części samochodowych.

W styczniu br. komisja przemysłowców amerykańskich zaproponowała zniesienie wszelkich ograniczeń w produkcji stali niemieckiej, a z planem reparacji wojennych wyłączenie 200 niemieckich zakładów przemysłowych. W końcu stycznia „Nowoje Wremia" demaskuje konszachty przemysłowców niemieckich, francuskich i luksemburskich, mające na celu wskrzeszenie zachodnio-europejskiego koncernu stalowego. Luty i marzec potwierdza istnienie tych zmów za plecami narodów, ale pod patronatem USA.

Stąd też notujemy takie fakty, jak wstrzymywanie dostaw węgla do Francji po to tylko, aby francuskie huty stały, ale aby francuską stal walcowały walcownie Zagłębia Ruhry, jak szybszy wzrost produkcji w niemieckim przemyśle ciężkim niż we francuskim. Mimo tego w wyniku taktyki kapitalistów liczba bezrobotnych w „Bizonii" sięga 1 miliona osób i nieustannie rośnie.

Belgia, dotąd kraj dobrej koniunktury, toczona jest przez klęskę bezrobocia. Tylko w styczniu i lutym br. liczba bezrobotnych wzrosła o 90.000 osób, czyli w porównaniu z grudniem ub. roku wzrost ten stanowi równe 30 proc. Ograniczony dyktatem USA przemysł belgijski kurczy produkcję, a rząd kapitalistyczny nie widział innego wyjścia jak wysyłanie belgijskich bezrobotnych do pracy w innych krajach, tak jakby tylu zakładów nie było w Belgii, lub jakby było za dużo w Belgii belgijskich rąk do pracy.

Miting robotników paryskich na rzecz pokoju

Holandia w lutym i marcu wstrząsana jest licznymi strajkami. Robotnicy domagają się podwyżki płac i protestują przeciwko agresji holenderskiej w Indonezji, która prowadzona jest nie tylko z kredytu USA, udzielonego rzekomo dla odbudowy Holandii, ale środki na nią czerpie się ze wzmożonej presji podatkowej i ograniczenia udziału świata pracy w dochodzie narodowym.

We Włoszech de Gasperi oświadcza, że reforma rolna jest niepotrzebna, chociaż wiadomo, iż 50 proc. ziemi trzyma w rękach klika obszarnicza, a miliony chłopów pędzi nędzny żywot na folwarkach i dzierżawach, na gorszej ziemi. Mnożą się strajki robotników rolnych, na Sardynii chłopi samorzutnie obejmują ziemię w posiadanie, aby przywrócić glebie urodzajność i zniszczyć pańskie odłogi. Ogółem liczba bezrobotnych przekracza 2 miliony, spada siła nabywcza lira, a z nią obniża się poziom życiowy klasy robotniczej. Strajki we Włoszech rozszerzają się na coraz nowe gałęzie produkcji. Naród walczy z kliką kapitalistyczną, zaprzedaną dolarowi.

Nawet w **Szwajcarii** kończą się „złote" czasy. I tu stale rośnie ilość bezrobotnych, kurczy się pula eksportu szwajcarskiego. Ostatnio podano, że przemysł budowlany daje zatrudnienie zaledwie 80 proc. robotników. Pierwszy kwartał roku bieżącego wskazuje na to, że szwajcarskie koła gospodarcze szukają dróg wyjścia z narastających trudności, ale te drogi nie wychodzą poza krąg myślenia kapitalistycznego. I chociaż Szwajcaria nie korzysta z „pomocy" w ramach planu Marshalla, to jednak jej aktualna sytuacja jest przyczynkiem do generalnej schyłkowości ustroju kapitalistycznego.

Podobnie rzecz dzieje się w **Szwecji,** gdzie szeroką ręką w pierwszych latach powojennych szły za granicę kraju cenne dewizy dla zaspokojenia zwiększonego popytu wewnętrznego. Dziś jest inaczej i kapitalistyczna Szwecja zaciskać musi pasa. Neutralny ten kraj prowadzi rozległy handel i zwrócił się ostatnio do USA o zakup m. in. aparatów radarowych. Oczywiście sprawę załatwiono odmownie, bo Szwecja nie figuruje w aktualnych ramach planu Marshalla. Oto jeden z ostatnich wielu przykładów stosowania przez USA dyskryminacji politycznej w stosunkach gospodarczych.

Drugi — to historia powszechnie znana, ale godna przypomnienia dla całości obrazu. Francuska fabryka samochodów odstąpiła Polsce pewną ilość samochodowych części wymiennych. Natychmiast, 22 marca br., reaguje na to organ administracji marshallowskiej „New York Tribune", twierdząc, że fakt ten jest wyraźnym pogwałceniem... układu marshallowskiego. A zatem Francja nie ma prawa określać sama swojej produkcji, nie ma prawa sama kształtować swojego handlu zagranicznego. Decyzja w tej sprawie nie leży wcale nad Sekwaną, ale daleko za oceanem, w Nowym Jorku, na Wall-Street. Tak się dzieje i w innych krajach marshallowskich i tak jak nie nad Sekwaną dla Francji, tak nie nad Tamizą dla Anglii lub nie nad Tybrem dla Włoch leży ośrodek dyspozycyji.

Dzieje się to w okresie, w którym **Polska, Czechosłowacja** i inne kraje demokracji ludowej zawierają swobodnie i z pełnią praw, wynikających z istotnej suwerenności, liczne umowy handlowe. 14 stycznia zawarto w Warszawie pięcioletnią umowę handlową polsko-brytyjską na skalę bardzo poważną i bez precedensu w historii stosunków gospodarczych pomiędzy tymi krajami. 15 stycznia Polska zawiera z ZSRR protokół o wzajemnych dostawach towarowych, gruntując przyjazną pomoc ze strony wielkiego naszego sąsiada. 26 stycznia następuje podpisanie dwudziestoletniego polsko - rumuńskiego układu o przyjaznej współpracy i wzajemnej pomocy.

Tak rosną obroty i rozwijają się stosunki gospodarcze krajów pokoju. Wyrazem zdrowej ich troski o wzrost produkcji i dobrobytu jest powołanie w końcu stycznia do życia Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Tu godzi się podkreślić, że stanowi to również przykład nowego stylu w międzynarodowych stosunkach gospodarczych, opartego o szczerą przyjaźń i wspólnotę interesów narodów miłujących pokój. Jak gra w praktyce to współdziałanie — widać już choćby w okresie lutego i marca, kiedy nieustanny strumień dóbr inwestycyjnych pomaga szybszej realizacji planu trzyletniego, a artykuły komsumpcyjne, importowane z krajów-członków Rady, likwidują skutecznie nawet chwilowe wąskie gardła w obszarze zagadnienia aprowizacji kraju.

Tu więc rejestrujemy dalszy rozwój na różnych odcinkach życia gospodarczego, a tam — w krajach Europy Zachodniej — zastój lub cofanie się, zaburzenia ekonomiczne i zjawiska klęskowe. Równie krytycznie należy ocenić sytuację w **USA.** Oficjalne dane wskazują na wielki wzrost bezrobocia, spadają ceny surowców, fundusz płac maleje, zmniejsza się produkcja.

W stosunku do roku 1948 ilość bezrobotnych, korzystających z zapomóg, wzrosła w marcu o 70 proc. Tempo wzrostu na tym odcinku jest szczególnie ostre. W czasie od grudnia 1948 r. do stycznia br. ilość bezrobotnych wzrosła o 700.000 osób, od połowy stycznia br. do połowy lutego a dalsze 500.000. W końcu marca obliczać można stan bezrobocia w USA na około 5 milionów ludzi. A to oznacza, iż USA weszły w stan ciężkiej depresji gospodarczej, skoro ekonomiści północno-amerykańscy sami zapowiadali, że klęskowy charakter bezrobocia wystąpić może przy osiągnięciu tego pięciomilionowego pułapu. Poza tym trzeba przypomnieć, iż główny doradca Trumana, Keyserling, wyliczył w lutym, że 25 proc. rodzin w Stanach Zjednoczonych nie ma dostatecznych dochodów, aby zapewnić sobie odpowiedni poziom życia. Ta ¼ obywateli USA — to w praktyce już nie 5 milionów ludzi, ale dziesiątki milionów ludzi.

Przed oczami amerykańskimi pojawia się widmo roku 1929, roku kryzysu i paniki. Tylko teraz sprawa inaczej wygląda i obecna depresja jest symptomem nieuleczalnej choroby. Złudne twierdzenia o rzekomej koniunkturze rodzą się z faktu znakomitego pomnażania zysków kapitalistów kosztem ludzi pracy. Nakręcaniem koniunktury USA jest więc plan Marshalla i taktyka dyskryminacji gospodarczej. Ostrość zjawiska zaciemnia wreszcie intensyfikacja zbrojeń, przez co ratuje się sytuację przynajmniej w niektórych dziedzinach przemysłu. Trzeszczący gmach imperializmu tu i tam podreperowuje się, ale gdzie indziej wypadają coraz większe cegły i gniją stopniowo fundamenty.

15 miliardów dolarów przeznacza się w budżecie USA na rok bieżący na zbrojenia, ale na oświatę, na świadczenia socjalne przeznacza się coraz mniejsze sumy, ograniczające się do ułamków procenta. W **W. Brytanii** 40 proc. budżetu idzie w tym roku na zbrojenia, a ludność miast i wsi angielskich na próżno oczekuje od rządu pomocy w budowaniu mieszkań, w polepszeniu sytuacji aprowizacyjnej, w rozwoju urządzeń socjalnych.

Jak diametralnie różny jest budżet państwowy **ZSRR** i krajów demokracji ludowej świadczy fakt, iż zbrojenia zajmują coraz mniejsze pozycje, a rosną pozycje na oświatę, kulturę, urządzenia socjalne i służbę zdrowia. I to rosną tym silniej, im bardziej spadają w krajach kapitalistycznych.

Kiedy w USA, we Francji, w Anglii, we Włoszech itp. spada siła nabywcza ludzi pracy, to w ZSRR w roku 1948 obniżenie państwowych cen detalicznych przynosi wzrost zdolności siły nabywczej rubla o 41 proc. W sumie daje to ludziom radzieckim co najmniej 57 miliardów rubli rocznie oszczędności. Nowa lutowa obniżka cen w Związku Radzieckim znakomicie podnosi płacę realną pracującego ludu miast i wsi. Entuzjazm w budownictwie socjalistycznym mnoży wydajność produkcyjną, podnosi się dobrobyt. I tak interes osobisty łączy się w nierozerwalną całość z interesem narodowym, a poprzez interes narodowy z interesami międzynarodowego proletariatu miast i wsi. Podobnie dzieje się w krajach demokracji ludowej, stojących obecnie na ważnym etapie drogi do socjalizmu.

W Stanach Zjednoczonych, w krajach kapitalizmu, rośnie chaos i rodzą się coraz nowe i coraz ostrzejsze sprzeczności ekonomiczno-społeczne. Narastają pomiędzy tymi krajami zakłócenia w kapitalistycznej sferze interesów, czego ostatnio mieliśmy dowody choćby w stosunkach pomiędzy Włochami i Francją (sprawa unii celnej) lub pomiędzy Belgią, Holandią i Luksemburgiem (sprawa różnic w bilansach handlowych i sprawa porozumienia walutowego) czy wreszcie pomiędzy Anglią i Francją (sprawa parytetu: funt sterling — frank, przy czym obie waluty mają ulec dewaluacji pod presją USA).

Na odwrót — w ZSRR i krajach demokracji ludowej utwierdza się dobrobyt i rośnie produkcja, a pomiędzy tymi krajami nie ma sprzeczności ani zakłóceń, bo nic ich nie dzieli, a wszystko łączy. Poczucie siły i walki o słuszną sprawę towarzyszyło tym krajom w pracy pokojowej również i w ubiegłym kwartale. W krajach kapitalizmu narastał nie tylko chaos i nie tylko zdenerwowanie kół imperialistycznych, ale jednocześnie szedł coraz szerszy atak światowego proletariatu w różnych krajach na gnijący ustrój kapitalistyczny.

Od Administracji

Przypominamy o wpłacaniu prenumeraty na rok bieżący

Israel Epstein

Chińskie drzeworyty orężem w walce

Lu Hsun Mei Gan

Żadna gałąź sztuki nie była w historii Chin ściślej związana z drogą i celem walki ludu, jak właśnie współczesny drzeworyt chiński. Pochodzenie jego jest w swym rodzaju jedyne, gdyż był on orężem w walce politycznej i pozostaje nim po dziś dzień.

Powstanie swe i początkowy rozwój zawdzięcza drzeworyt nie artystom grafikom, lecz pisarzom, którym uniemożliwiono twórczość pisarską. Gdy biały terror Czang-Kai-Szeka w trzydziestych latach bieżącego wieku skierowany został również przeciwko postępowym pisarzom Szanghaju, niektórzy z nich, młodzi mężczyźni i kobiety, zwrócili swoją uwagę na dział grafiki, przy pomocy którego mogli przemówić w sposób bezpośredni do złożonej przeważnie z analfabetów ludności tego zdławionego przez policję miasta. Tym działem sztuki graficznej był drzeworyt, a to dzięki plastycznym środkom wyobrażeniowym, niezbyt kosztownej technice i łatwości dokonywania reprodukcji, przede wszystkim zaś dzięki temu, że można go było zastosować jako **afisz.** Pisarze, którym uniemożliwiono pisanie, nauczyli się rzeźbić drewniane deseczki i zaczęli używać je do przekazywania swych myśli.

Prekursorem tego nowego rodzaju drzeworytnictwa był ubogi, młody nowelista Ju Szi. Zachwycony rewolucyjnymi odbitkami dzieł drzeworytniczki niemieckiej Kaethe Kollwitz, myślał o wprowadzeniu ich w Chinach — jako wzoru do naśladowania. Ju Szi został aresztowany i zastrzelony przez kuomintangowskie gestapo. Jego zamiar urządzenia w Szanghaju wystawy utworów Kaethe Kollwitz został zrealizowany przez literackiego olbrzyma Lu Hsun'a, zwanego chińskim Gorkim.

Lu Hsun napisał w związku z tą wystawą, poświęconą pamięci Ju Szi, piękny essay pt. „Pisane w przepaściach nocy“. Wzywa w nim artystów do stosowania drzeworytu jako „ostrej szabli“ w walce o postęp i narodowe oswobodzenie Chin. Lu Hsun widział bowiem w twórczości Kollwitz drogę, która może doprowadzić walczący lud chiński do uświadomienia sobie tego, że nie jest on w swej walce osamotniony, drogę, która może również obudzić w nim poczucie międzynarodowej solidarności klasy robotniczej, nieosiągalne zazwyczaj w warunkach kolonialnych, sprawiających, że każdy osiadły „cudzoziemiec“ korzysta z zysków uciskającej lud imperialistycznej machiny.

Zawsze przy pracy Yi Ching

Rolnicy Chen Yin-chiac

Wbrew temu jednak, czego uczyło szanghajskie doświadczenie, prawdziwym konfliktem nie było w tym wypadku starcie dwu światów — Europy i Azji, lecz walka gnębicieli z gnębionymi — w ogóle i wszędzie. Stanowisko swoje wyraził Lu Hsun w ten sposób: „Chińczycy, którzy nie mają możliwości podróżowania za granicą, uważają często, że wszyscy biali są albo głosicielami nauki Jezusa, albo dobrze ubranymi i dobrze odżywianymi kierownikami firm, z przyzwyczajenia rozdającymi kopniaki prostym ludziom... Dzieła Kaethe Kollwitz wykazują jednak, że lżeni i pogardzani, przyjaciele i sprzymierzeńcy ludu istnieją w wielu innych krajach ziemi, że są artyści, którzy się skarżą, protestują i walczą o wspólną sprawę... Kollwitz została zmuszona do milczenia (przez Hitlera), lecz dzieło jej dotarło aż na Daleki Wschód. Nie ma rzeczy, która byłaby w stanie stworzyć przepaść między człowiekiem a sztuką“.

Taki był początek. Pierwsze drzeworyty chińskie odznaczały się surowością w wykonaniu, lecz też z drugiej strony były i pozostają po dziś dzień szczytowymi osiągnięciami świadomej woli oraz ideologicznej treści. Zawsze czujna kuomintangowska policja dostała jednak wkrótce w swe ręce rzeźbione deszczułki drzewa i zapisała je sobie jako „przedmioty przewrotowe“, zasługujące na poszukiwanie w obławach, względnie w rewizjach. Chińskiemu drzeworytowi (jedynemu wśród wszystkich rodzajów techniki sztuk plastycznych) przypadł ten zaszczyt, że został on proskrybowany jako wrogi istniejącemu porządkowi. W okresie pięciu lat po 1932 roku wielu drzeworytników chińskich zostało aresztowanych i poddanych torturom jedynie dlatego, że zajmowali się tego rodzaju pracą. Po stworzeniu jednolitego, antyjapońskiego frontu w 1937 roku, drzeworyt chiński niespodziewanie awansował do rangi oficjalnie uznanej sztuki narodowej. Poświęcili się jej również propagandyści kuomintangowscy, by wykazać się swą rzekomą narodową witalnością.

Należy jednak w tym wypadku zwrócić uwagę na specyficznie charakterystyczny rys chińskiego drzeworytu. Jeśli nawet przejściowo zdobył on oficjalne uznanie, prawdą jest, że ani jeden wybitny drzeworytnik nie stanął w służbie reakcji, że ani jednego artysty nie wychowała dysponująca znacznymi środkami finansowymi propaganda Kuomintangu. Po roku 1939 gazety i czasopisma w Chinach Czang-Kai-Szeka znowu otrzymały zakaz reprodukowania prac najlepszych drzeworytników, lecz wydawnictwa kuomintangowskie przeznaczone na zagranicę (aby przedstawić swoich wydawców, jako prawdziwych przywódców narodowego ruchu oporu) w dalszym ciągu próbowały uzyskać jakieś ciekawsze wyniki w dziedzinie drzeworytu. Prawdziwe jednak drzeworyty ludowe pokazywane były jedynie na krótko trwających, lecz też gorąco wyczekiwanych wystawach, urządzanych czasem pod protekcją jakiegoś wysoko postawionego i chwilowo tolerowanego liberała.

Lojalne ustosunkowanie się do narodu oraz wola mówienia jedynie do i dla ludu nadawały wyraźny charakter współczesnemu drzeworytowi chińskiemu od samego początku jego istnienia. A co można by powiedzieć o jego formie? Czy jest możliwym jej rozwój „spontaniczny“, bez stałej dyskusji i krytyki w stosunku do treści? Ulepszanie techniki było zawsze uważane za część obowiązków artysty w stosunku do jego środowiska oraz w stosunku do celu jego twórczości, było usankcjonowaniem zadania artystycznego, podejmowanego „nie dlatego, że artysta nie ma nic innego do roboty, lecz dlatego, że jest to coś, co można nazwać zarówno konkretnym, jako też koniecznym“ (Ye Szeng-t'ao).

Czeng-I-Wan tak przedstawia dwa światy artystów chińskich: „Chińska sztuka komercjalna zniżyła się do afiszowania znachorskich leków. Nasi sławni współcześni artyści tracą większość swego czasu w towarzystwie nagich kobiet i złotych rybek. Twórcy, mogący być przykładem, wycofują się z nędzy Chin w senny świat bambusów, wodospadów, ptaków i mglistych gór...

Zemsta Chen Yin-chiao

A przecież głównym zadaniem sztuki we współczesnych Chinach jest nauczenie mas realistycznego spojrzenia na świat, uwolnienie ludu od przesądów feudalizmu i propagandy imperializmu, udzielenie mu pomocy (za pośrednictwem teatru, malarstwa, literatury) w rozumieniu współczesnego świata tak, by mógł on zadecydować o tym, jak ma postępować w swym własnym interesie. Artyści drzeworytnicy świadomie dążą do postawienia swej sztuki w przedniej linii walki o narodowe oswobodzenie. Prawdą jest, że praca ich nie jest jeszcze pozbawiona wad. Wielu z nich grzeszy zbytnio lenistwem i nie chce uważnie studiować z natury, i to do tego stopnia, że twarze ich chłopów i robotników zbytnio przypominają Europejczyków. Pozbawieni inteligentnej krytyki i pomocy ze strony znawców i prasy narażeni są oni na najbardziej bezlitosne przyjęcie ze strony odbiorców.“

Bojownicy o demokrację Li Ying

Obława Ko Yang

Dużo dyskusji wywołała również kwestia obcych wzorów oraz wpływów, jakie oddziaływały na chińskich artystów grafików. Ci z nich, którzy uważali się za uczniów Georga Grosz'a, bądź to stawali się naśladowcami, bądź też zaniedbywali **pozytywne** elementy obrazu i to nawet w tym najgorszym okresie, nazwanym „czasem, który stawiając żądania krzesał bohaterstwo“. „Grosz jest utalentowanym artystą — pisał krytyk — lecz potrafi on jedynie nauczyć, w jaki sposób można odkryć w człowieku **diabła**... Grosz nie umie zauważyć ani odmalować pozytywnych sił ludu, który buduje i zbuduje nowy świat. Na naszą uwagę zasługują natomiast tacy artyści, jak David Low, Efimow, Fred Ellis, Fitzpatrick, przychodzący nam z pomocą w osiągnięciu głębszego realizmu, wyraźniejszego sensu kompozycji i jasności oraz prostoty rzeźby“. Mówi się tu o zwróceniu uwagi, a nie o niewolniczym naśladownictwie.

Współczesny drzeworyt chiński w żadnym wypadku nie pochodzi (jak to się wielu może wydawać) od chińskich rycin z dawnych wieków, gdy to malarz szkicował rysunki, a rzemieślnik rzeźbił je w drzewie. Jest to nowy rodzaj sztuki, zrodzony pod wpływem drzeworytów Kollwitz i wymagań ludu. Dopiero potem zaczął się on nieco upodabniać do starodawnych rycin. Ye Szeng-t'ao powiedział: „Niektóre delikatnie wycyzelowane drzeworyty bardzo przypominają stare ilustracje, lecz nie można powiedzieć, żeby były one takie same. Jakżeby te ostatnie mogły posiadać podobny wigor życiowy?“

Współczesne drzeworyty chińskie, z których najstarsze powstały 20 lat temu, rozpadają się na dwie kategorie. Artyści na terenach obsadzonych jeszcze przez Kuomintang w dalszym ciągu odważnie kontynuują tradycję zwalczania starego ustroju. Artyści na terenach wyzwolonych utrwalają w swej sztuce ludowe odrodzenie Chin. Dzieło ich jest jasne jasnością niedawno uzyskanej wolności ludu, wolności wynikającej z dążenia do rozwoju i postępu. Drzeworyty tych artystów pomagają ludowi w organizowaniu się oraz w marszu po nowej drodze — mają one za temat wybory, referendum rolne, bohaterów pracy itd.

Rockwell Kent widzi w drzeworycie chińskim „bezkompromisową siłę bieli i czerni, która wyraża nie dający pogodzić się konflikt tego, co słuszne, z tym, co złe“. Drzeworyt, będący niegdyś namiętnym krzykiem i wysiłkiem prześladowanych pisarzy, którzy w okresie twórczości Lu Hsuna stali się artystami-grafikami, jest obecnie wzorem dla nowego pokolenia, uczonego systematycznie przez najlepszych spośród młodych weteranów a byłych pionierów tej sztuki. Nauka ta odbywa się daleko od opanowanych przez głód poddaszy Szanghaju, daleko od jego przymusowej twórczej ukradkowości, wśród pól Nowych Chin uprawianych spółdzielczo, w wielu uwolnionych miastach, gdzie tylko istnieją filie Akademii Sztuki. Nosi ona nazwę Akademii im. Lu Hsuna, dla uczczenia wielkiego pisarza i oswobodziciela kultury, walczącego niegdyś w „przepaściach nocy“.

Israel Epstein,
tłum. **Edward Martuszewski**

Kazimierz Piwarski

Pakt Atlantycki a Karta ONZ

Ogłoszenie tekstu Paktu Atlantyckiego (chodzi tutaj o jego jawne klauzule) potwierdza w pełni zdanie, wyrażone niedawno przez miarodajne koła Związku Radzieckiego, że montowanie tego paktu „stanowi ostateczne zerwanie USA i W. Brytanii z tą polityką, jaką rządy USA, W. Brytanii, ZSRR wraz z wieloma innymi narodami kierowały się przy tworzeniu ONZ oraz opracowywaniu i przyjęciu Karty ONZ“. Dowodzi zarazem, że w USA przeważył zdecydowanie „nowy kurs“ polityki. Wyraźną tego zapowiedzią było już uchwalenie w senacie znanego wniosku senatora Vandenberga (latem ub. r.). Wniosek szedł w tym kierunku, „ażeby po raz pierwszy w dziejach USA zjednoczyły się w okresie pokoju z krajami znajdującymi się poza granicami półkuli zachodniej, zawierając z nimi umowę o bezpieczeństwie zbiorowym, mającą na celu zapewnienie pokoju i wzmocnienie naszego własnego kraju“. Pod pozorem zapewnienia bezpieczeństwa chodziło w istocie o stworzenie bloków w celu agresywnym, o narzucenie hegemonii amerykańskiej całemu światu. „Nowy kurs“ bowiem polityki, podjęty oficjalnie przez USA oraz przez poddane dyrektywom amerykańskim rządy innych państw zachodnich sprowadza się do tego, że w istocie koła imperialistyczne państw zachodnich wracają w pełni do dawnego, antyradzieckiego kursu swej polityki, którego celem była izolacja ZSRR — jako przygotowanie do agresji na ZSRR.

Wprawdzie zwolennicy Paktu Atlantyckiego głoszą, że jest on zgodny z Kartą ONZ, powołując się na pierwsze zdanie tekstu Paktu: „Strony zawierające niniejszy pakt potwierdzają swą wiarę w cele i zasady Karty Narodów Zjednoczonych“. Wystarczy jednak przypomnieć sobie artykuły statutu ONZ, aby stwierdzić, iż Pakt Atlantycki nie tylko nie jest zgodny, ale jest wprost sprzeczny z zasadami statutu ONZ. Wedle art. 52 Karty ONZ dopuszczalne jest wprawdzie zawieranie paktów regionalnych, „zgodnych z celami i zasadami ONZ“. Czyż można jednak uważać za porozumienie „regionalne“ pakt, obejmujący państwa różnych półkul, jak Kanadę i Norwegię? A zresztą, gdyby nawet pominąć absurdalność podobnego powiązania „regionalnego“ państw tak odległych, artykuł 53 Karty ONZ przewiduje konieczność aprobaty takich porozumień przez Radę Bezpieczeństwa, do której należy również i ZSRR. Rzecz jasna, że ZSRR nie był wcale pytany o zdanie. Autorzy Paktu woleli nie oddawać go pod aprobatę Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdyż wiedzieli najlepiej, że nie jest on zgodny z zasadami Karty ONZ.

Co prawda, art. 51 statutu ONZ mówi o „niezaprzeczalnym prawie do indywidualnej i zbiorowej samoobrony, jeśli dojdzie do zbrojnej napaści na członka ONZ“, a Rada Bezpieczeństwa nie zdoła jeszcze przedsięwziąć odpowiednich kroków celem zabezpieczenia pokoju. W takim wypadku byłoby możliwe porozumienie regionalne nawet bez uprzedniej autoryzacji ze strony Rady Bezpieczeństwa. Gdzież jednak zaszedł wypadek agresji, gdzież jest ów agresor? Oczywiście imperialiści anglo-amerykańscy wskazują na Związek Radziecki jako na — potencjalnego agresora: wprawdzie nie nastąpiła z tej strony agresja, głoszą, ale może nastąpić. Tymczasem jest rzeczą dla każdego jasną, że ZSRR nie przygotowuje żadnej napaści na USA ani na W. Brytanię, czego dowodem choćby to, iż rzekomo zagrożonej agresją Norwegii zaofiarował wprost zawarcie paktu nieagresji, a więc proponował najlepszą rękojmię bezpieczeństwa ze swej strony! Warto jeszcze zaznaczyć, jaki duch przyświecał sformułowaniu tego artykułu (51) statutu ONZ. Otóż w statutcie określono pojęcie agresora jako odnoszące się do jednego z tych państw, które w toku drugiej wojny światowej było wrogiem któregokolwiek z sygnatariuszy Karty ONZ. Czyż taką definicję można zastosować — o ile to nie ma być jawnym naigrawaniem się z Karty ONZ — do ZSRR, który największe ofiary poniósł w walce z hitleryzmem i najwięcej przyczynił się do pełnego triumfu Narodów Zjednoczonych, z którymi walczył ramię przy ramieniu?

Jasną jest rzeczą, iż Pakt Atlantycki jest sprzeczny tak z literą jak zwłaszcza z duchem Karty ONZ. Nic dziwnego, że aranżerowie paktu nie pokusili się nawet o poinformowanie o swych poczynaniach ONZ, do czego byli zobowiązani wedle statutu ONZ. Trudno by im przecież przyszło wykazać, że ich poczynania były w zgodzie z celami i zasadami Karty ONZ! Naczelną bodajże zasadą ONZ jest unikanie uciekania się do siły lub nawet do gróźb użycia siły — na wypadek sporów, wynikłych między członkami ONZ. Czyż jednak nie podpada pod pojęcie groźby szantażowanie bombą atomową, budowanie baz wojennych w całym świecie, na tysiące km od właściwej strefy obronnej USA? Czyż nie oznacza grożenia wojną utworzenie sztabu generalnego, montowanej pod egidą anglo-amerykańską koalicji tuż pod Paryżem (w Fontainebleau)? Czyż nie nabiera to specjalnego wyrazu wobec odrzucenia przez Trumana radzieckich propozycji pokojowych? Czyż nie jest rzeczą oczywistą, że ową groźbą użycia siły posługują się imperialiści anglo-amerykańscy konkretnie w stosunku do ZSRR i krajów demokracji ludowej, a więc wyraźnie wskazują, przeciw komu skierowane jest ich podżeganie do wojny? Czyż nie jest najjaskrawszym pogwałceniem zasad Karty ONZ, że to ustalanie „nieprzyjaciela“, przeciw któremu podejmuje się przygotowania wojenne, dokonuje się z zupełnym pominięciem właściwego forum, tj. Rady Bezpieczeństwa?

Maurice Thorez w czasie wygłaszania deklaracji pokoju

Karta ONZ zabrania wyraźnie mieszania się w stosunki wewnętrzne któregokolwiek z członków ONZ. Czyż w zgodzie z tym przepisem są oferty amerykańskie udzielenia rządom państw zachodnich pomocy finansowej celem „zwalczania komunizmu“, przez co zresztą należy rozumieć w istocie walkę z klasą robotniczą i siłami postępowymi tychże krajów? Na pewno nie są w zgodzie, są natomiast — jak i wiele innych poczynań imperialistów amerykańskich — w jaskrawej sprzeczności.

Publikując tekst Paktu Atlantyckiego, jego aranżerowie mieli niewątpliwie zamiar bałamucić dalej opinię publiczną, przybierając maskę rzekomych obrońców pokoju. Ale wszystkie elementy demokratyczne i postępowe świata poznały się już na obłudzie podżegaczy wojennych, którzy deklamują o pokoju, a równocześnie przygotowują wojnę. Na razie chodzi im, być może, przede wszystkim o „wzmocnienie gotowości obronnej“ państw europejskich, objętych paktem, oraz o wzmocnienie — pod pretekstem „konieczności wojskowych“ — kontroli amerykańskiej nad tymi państwami, tak politycznej jak i gospodarczej. Jakżeż to jednak określić? Jakim to celom służy? Czyż nie stanowi to wszystko przygotowywania gruntu dla realizacji w przyszłości polityki agresywnej?

Kiedy ZSRR zaproponował Norwegii zawarcie paktu nieagresji, angielski dziennik „Yorkshire Post“ zamieścił artykuł, w którym zalecał rządowi norweskiemu uchylenie się od przyjęcia propozycji radzieckiej, pod pretekstem, że przecież pakty tego rodzaju są zbędne, skoro „ZSRR i Norwegia są członkami ONZ, a więc ZSRR w ten sposób automatycznie zobowiązał się nie atakować Norwegii“. Czemuż w takim razie imperialiści amerykańscy odczuwają naraz potrzebę Paktu Atlantyckiego dla „celów ochronnych“? Czyż nie wystarcza dla tych celów sama Karta ONZ, byleby tylko była w pełni respektowana? Otóż w tym sęk. Karta ONZ jest niewygodna dla imperialistów anglo-amerykańskich, bo w jej ramy trudno byłoby wcisnąć politykę montowania agresywnych bloków. Nie śmiejąc zaś — ze względu na opinię publiczną — atakować frontalnie ONZ, czyni się podkopy pod tę organizację, „która przynajmniej w pewnym stopniu przeszkadza i powstrzymuje koła agresywne w ich polityce agresji i rozpętywania nowej wojny“. Właściwymi reżyserami polityki anglo-amerykańskiej są wielcy monopoliści, są kierownicy trustów, produkujących materiały wojenne, którzy już teraz zarabiają kolosalne sumy na zbrojeniach w różnych krajach, którzy marzą o znacznie jeszcze większych zyskach w razie rozpętania wojny, którzy chcieliby wpędzić ludzkość w odmęt nieszczęść — byleby tylko powiększyć jeszcze swe miliardowe fortuny, utrzymać i nawet wzmocnić swe monopolistyczne pozycje w gospodarce światowej.

Ale ich plany i intrygi pokrzyżuje zdecydowana postawa mas pracujących całego świata, które nie pozwolą na rozpętanie nowej katastrofy wojennej. Siły te narastają i potężnieją, one przeważą i wytyczą drogi ludzkości, która wykuwać będzie swe lepsze jutro wedle zasad — pokoju i socjalizmu.

We Francji zapowiada się nowa fala strajków. Robotnicy obradują przeciw reakcyjnej polityce rządu i za pokojem.

W NUMERZE 15 (194) TYG. „WIEŚ“, Z DNIA 10 KWIETNIA 1949 R.

Stefan Ignar — Stawiamy już na gromadę; Henryk Syska — Naród czy Rzym?; V. Leduc — Amerykański „Mein Kampf“; Paul Robenson — Ameryka to także ja; Józef Pogan — Inteligencja na wsi w czasie okupacji; Jerzy Miller — wiersze; Andrzej Wasilewski — Droga pisarska Kazimierza Brandysa; Paulina Czyżowa — Wystawa amatorów plastyków Zw. Zaw. w Łodzi; Władysław Strzemiński — Amatorstwo plastyczne; Marian Niewiarowski — U robotników; Józef Choczyński — Na drogach teatru; Edward Marzec — Węzeł; Witold Wirpsza — O właściwy stosunek do tradycji; Jerzy Cios — Walka z „pseudoklasycyzmem“; Mieczysław Bodalski — Nowy statut ZSCh.; Prof. Dr Tadeusz Hilarowicz — Sprawa wyższej szkoły korespondencyjnej; Tadeusz Papier — Sprawa robotnika, chłopa i pisarza; Fakty i zdania; 37 ilustracji; 12 str.

SPROSTOWANIE

W n-rze 15 tyg. „Wieś“ wskutek pomyłki korektorskiej podano błędnie datę III Kongresu ZSCh., na str. 1 pod art. Stefana Ignara — Stawiamy już na gromadę, oraz na str. 11 pod art. Mieczysława Bodalskiego — Nowy Statut Z.S.Ch. Powinno być: 3, 4, 5 kwietnia 1949 r.

Maksym Gorkij

Tłum. Anna Kamieńska i Jan Śpiewak

N A D N I E

A k t III

Pusty, zaśmiecony i zarosły zielskiem dziedziniec. W głębi wysoki mur ceglany zakrywający niebo. Pod nim krzaki bzu. Na prawo — ciemna drewniana ściana jakiegoś gospodarskiego budynku, wozowni lub stajni, na lewo zaś szara, pokryta resztkami tynku ściana domu, w którym znajduje się dom noclegowy Kostylewych. Stoi ona na ukos tak, że jej tylny węgieł zachodzi prawie na środek podwórza. Między nią a czerwonym murem — wąskie przejście. W szarej ścianie dwa okna: jedno na równi z ziemią, drugie dwa metry wyżej i bliżej wysokiego muru. Pod ścianą tą leżą do góry płozami sanie i belka długa na cztery metry. Na prawo pod ścianą kupa starych desek i drągów. Wieczór, zachód słońca rzuca na mur czerwone światło. Wczesną wiosna, dopiero co stopniał śnieg. Czarne gałązki bzu jeszcze nie mają pączków. Na belce siedzą razem NATASZA i NASTKA. Na saniach ŁUKASZ i BARON, KLESZCZ leży na kupie drzewa pod prawą ścianą. W oknie nad ziemią — gęba Bubnowa.

NASTKA (z przymkniętymi oczyma, kiwając głową w takt słów, śpiewnie opowiada). No i przychodzi on nocą do ogrodu, do altany, wedle umowy... a ja go już dawno czekam i czekam i drże ze strachu i żalu. On także cały drży i — blady jak kreda, a w ręce leworwer...

NATASZA (gryzie pestki). Patrzcie no! Widocznie prawda, co mówią, że student zawsze szalony...

NASTKA. I mówi on do mnie strasznym głosem — najdroższa ty moja miłości...

BUBNOW. Ho-ha! Najdroższa?

BARON. Poczekaj! Nie chcesz, — to nie słuchaj, a zmyślać nie przeszkadzaj. Co dalej?!

NASTKA. Najukochańsza ty moja miłości, mówi! Rodzice, mówi, nie zgadzają się na małżeństwo z tobą... i grożą mi przekleństwem na wieki za moją miłość dla ciebie. No i muszę ja, mówi, dlatego pozbawić się życia... A leworwer w ręce jego taki ogromny i nabity dziesięcioma kulami. Żegnaj, mówi, umiłowana przyjaciółko mego serca! — postanowiłem nieodwołalnie... Żyć bez ciebie — to ponad moje siły.—A ja odrzekłam mu — niezapomniany mój przyjacielu — **Raulu...**

BUBNOW (zdziwiony). Co? jak? **Kraul?**

BARON (śmiejąc się). Nastka! Przecież... przecież ostatnim razem — był Gaston!

NASTKA (zrywa się). Milczcie... nieszczęśni! Ach... psy... przybłędy! Jakże, jakże wy możecie pojąć... miłość? Prawdziwą miłość? A to była... miłość — prawdziwa! (Do Barona) Ty! Nędzniku!... Jesteś człowiekiem wykształconym — powiadasz — piłeś kawę w łóżku...

ŁUKASZ. Czekajcie-no! Nie przeszkadzajcie jej! Uszanujcie człowieka.. nie co się mówi jest ważne, ale dlaczego się mówi?— O to się rozchodzi! Opowiadaj, Nastko, nie zwracaj na nich uwagi!

BUBNOW. Farbuj pióra wrono — zmyślaj!

BARON. No — co dalej?

NATASZA. Nie słuchaj ich... co ci tam oni? Oni — tak z zazdrości, bo nie mają co powiedzieć o sobie.

NASTKA (siada z powrotem). Nie chcę! Nie będę mówić... Jeżeli oni nie wierzą, jeżeli się naśmiewają... (Nagle urywa, milczy chwilę i znowu przymknąwszy oczy opowiada żarliwie i głośno, machając ręką w takt mowy jak gdyby wsłuchując się w daleką muzykę):

I tak.. ja mu odpowiadam. O radości mojej duszy! Słonko ty moje jasne! Ja także nie mogę żyć na świecie bez ciebie... albowiem kocham cię do szaleństwa i będę kochać dopóki serce bić będzie w mej piersi! O, mówię, nie pozbawiaj się młodego życia.. gdyż potrzebne ono twoim drogim rodzicom, których jesteś jedyną radością... rzuć mnie! Niech lepiej ja zginę... z żalu po tobie, życie ty moje... ja... sama, ja już taka! Niechaj już ja... ginę — tak musi być! Ja nikomu nie jestem potrzebna, nikomu i nic nie mam w życiu, nie mam nic... (Zakrywa twarz dłońmi i cicho płacze).

NATASZA (odwraca się w drugą stronę i cicho mówi): Nie płacz, nie trzeba!

(Łukasz z uśmiechem głaszcze Nastkę po głowie).

BUBNOW (śmieje się). Ach, ty lalo malowana!

BARON (śmieje się także). Dziadku, ty myślisz, że to prawda? To wszystko z książki „Tragedia miłości" To wszystko — bujda! Zostaw ją!..

NATASZA. A tobie co do tego? Ty! Milczałbyś już, kiedyś bez serca.

NASTKA (gniewnie). Przeklęty! Pusty człowieku! Gdzie ty masz serce?

ŁUKASZ (bierze Nastkę za rękę). Chodźmy stąd, moja droga, to nic... nie gniewaj się. Ja wiem, ja ci wierzę! Ty mówisz prawdę, a nie oni. Jeśli ty wierzysz, że to była miłość prawdziwa, to znaczy była! Była! Nie gniewaj się na niego, mieszkasz z nim... on.. może i rzeczywiście śmieje się, bo ci zazdrości, on może w ogóle nic prawdziwego nie przeżył... nic! Chodźmy!

NASTKA (przyciska ręce do piersi). Dziadku, daję słowo, że to prawda! Wszystko prawda... ten student.. to był Francuz.., na imię miał Gaston... z czarna bródka... chodził w lakierowanych butach... Niech mnie piorun zabije na miejscu! I tak mnie kochał! Tak kochał!

ŁUKASZ Ja wiem! Uspokój się! Ja ci wierzę! W lakierowanych butach, powiadasz! Ai-aj! No, a ty jego także kochałaś? (Odchodzą za węgieł).

BARON Ależ głupia ta dziewucha... dobra, ale niemożebnie głupia!

BUBNOW Dlaczego to człowiek tak lubi kłamać? Zawsze jakby stał przed sędzią śledczym... naprawdę.

NATASZA. Widocznie kłamstwo milsze od prawdy... Ja także...

BARON. Co — ty także? Co dalej?

NATASZA. Marzę... wyobrażam sobie i czekam...

BARON. Na co?

NATASZA (uśmiechając się wstydliwie). Tak sobie... Na przykład myślę sobie, że jutro.. przyjdzie ktoś... ktoś taki... niezwykły. Albo że zdarzy się coś... coś niebywałego... Ciągle czekam... zawsze czekam... A tak.., po prawdzie — to na co można czekać?

(Pauza)

BARON (z uśmieszkiem). Nie ma na co czekać. Ja na nic nie czekam! Wszystko już... było! Przeszło... minęło! Co dalej?

NATASZA. Albo też wyobraża mi się, że jutro... ja nagle umrę... I tak mi wtedy smutno... W lecie dobrze jest myśleć o śmierci... w lecie bywają burze... zawsze może piorun trafić.

BARON Nie masz ty słodkiego życia... ta twoja siostra... to piekielnica!

NATASZA. A czyje życie słodkie? Wszystkim źle — ja widzę.

KLESZCZ (do tej pory nieruchomy i nie biorący udziału w rozmowie nagle zrywa się). Wszystkim? Kłamiesz! Nie wszystkim! Gdyby tak wszystkim... to niechby! Wtedy — nie byłoby krzywdy... tak!

BUBNOW. Co to? diabeł cię kolnął? Patrzcie go... jak się rozdarł!

(Kleszcz znowu kładzie się na swoje miejsce i coś mruczy do siebie).

BARON. Ach, muszę iść przeprosić się z Nastusią. Jak nie przeproszę — nie da na wódkę

BUBNOW Mm... Ludzie lubią kłamać... No, jeszcze Nastka... rozumiem! Tak jak gębę maluje, tak i duszę chciałaby sobie podmalować... sztuczny rumieniec zrobić... Ale inni... po co? Ot na przykład Łukasz... kłamie jak najęty, a bez żadnego pożytku dla siebie... Stary już... to i po co mu to?

BARON (uśmiechając się odchodzi). Wszyscy mamy dusze szare... każdy by chciał podmalować trochę...

ŁUKASZ (wychodzi z kąta). Słuchaj, panie, dlaczego ty drażnisz dziewczynę? Nie przeszkadzałbyś jej... niech sobie płacze... niech się tak bawi... przecież jej przyjemnie łzy wylewać... co ci to szkodzi?..

BARON To głupie, stary! Sprzykrzyło mi się... dziś — Raul, jutro — Gaston, a zawsze w kółko to samo! A zresztą — idę się z nią przeprosić. (Wychodzi).

ŁUKASZ. Idź, idź... A powiedz jej dobre słowo... serdeczność wobec ludzi nigdy nie zawadzi...

NATASZA. Jakiś ty dobry, dziadku... Skąd ty taki dobry?

ŁUKASZ. Dobry, powiadasz? No, niech będzie, kiedy tak... (Za czerwonym murem słychać dźwięki harmonii i piosenkę) Ktoś musi być dobry, dzieweczko, ktoś musi pożałować ludzi! Chrystus wszystkich żałował i nam przykazał... Powiadam ci, pożałować człowieka w porę, to czasem wiele znaczy! Ot, na przykład — byłem ja za stróża na wsi u jednego inżyniera, pod Tomskiem. No tak! Willa stała w lesie, miejsce głuche... a była zima, ja tu sam w tej willi... Pięknie, dobrze! A tu raz, słyszę, podchodzą!

NATASZA. Złodzieje?

ŁUKASZ. A jakże. Powiadam wam podchodzą, tak!... Wziąłem ja fuzyjkę, wychodzę, patrzę... dwóch... otwierają okno — i tak się zajęli robotą, że mnie nawet nie widzą... Krzyczę ja do nich — Hej wy, wynoście się stąd! A wtedy oni, powiadam wam na mnie z siekierą... Ja ich uprzedzam: — Przestańcie, bo strzelam! I fuzyjkę to na jednego to na drugiego celuję. A oni — klękają — powiadam wam, przede mną; powiadam wam, zlituj się! No, ale ja już tego.., wpadłem w złość... łap za siekierę rozumiecie... i powiadam: jak was przeganiałem, diabły przeklęte, toście nie słuchali, a teraz, powiadam: nałam mi tam który gałęzi! To oni nałamali. Teraz, rozkazuję, jeden kładź się, a drugi bij. I tak to oni z mojego rozkazu sprali jeden drugiego. A jak już się sprali, powiadają do mnie — dziadku — powiadają, daj chleba, na rany Boskie. Przyśliśmy, powiadają, o głodzie. Tacy to i złodzieje, moja droga (śmieje się)... i do tego z siekierą! Tak... Niezłe były chłopy... Ja im powiadam, czemuż to diabły przeklęte od razu nie prosiliście chleba. A oni— sprzykrzyło się, powiadają, proś i proś, nikt nie chce dawać... przykro! I tak oni u mnie całą zimę przebyli. Jeden — Stefan mu było, weźmie, bywało, fuzyjkę i zapuści się w las. A drugi Jakub — ciągle jakoś chorował, kaszlał. I tak we trójkę, powiadam wam, stróżowaliśmy w willi. Przyszła wiosna — żegnaj, dziadku, mówią! I poszli sobie... Pociągnęli do Rosji...

NATASZA. Zbiegi? Katorżnicy?

ŁUKASZ. Rzeczywiście — zbiegi, tak, zbiegi... z osiedla uciekli... Dobre chłopy. Gdybym ich nie pożałował, może by mnie i zabili... albo jeszcze co... A potem sąd, więzienie, Sybir... i po co to? Więzienie nic dobrego nie nauczy, i Sybir nie nauczy. a człowiek — nauczy... Tak! Człowiek może nauczyć dobrego bardzo łatwo.

BUBNOW. Hm — tak! A ja na przykład... nie umiem kłamać! Po co? Ja zawsze mówię: wal całą prawdę, jaka by ona nie była! Czego tu się wstydzić?

KLESZCZ (nagle zrywa się znowu, jak oparzony i krzyczy). Jaka prawda? Gdzie ta prawda? (szarpie na sobie łachmany). Oto — prawda! Pracy nie ma! Siły nie ma, oto prawda! Schronienia... nie ma schronienia! Zdychać trzeba, oto i prawda! do diabła! Po co... po co mi ta prawda! Odetchnąć... tylko odetchnąć! W czym zawiniłem? Za co mam cierpieć — tę prawdę? Żyć — do diabła, nie można żyć... oto prawda!

BUBNOW. Zebrało mu się!...

ŁUKASZ. Jezu Chryste... posłuchaj no, mój drogi! Ty...

KLESZCZ (drży z przejęcia). Powiadacie — prawda! Ty stary pocieszasz wszystkich, a ja ci powiem... ja nienawidzę ich wszystkich! I tej twojej prawdy nienawidzę. Przeklinam ją! Rozumiesz? Zrozum! Przeklinam! (Biegnie za węgieł oglądając się na pozostałych).

ŁUKASZ. Aj-aj-aj! Jak się przejął... I gdzie on pobiegł?

NATASZA. Jakby oszalał.

BUBNOW. Nieźle mu wyszło! Jakby grał w teatrze... to mu się często zdarza... Nie przyzwyczaił się jeszcze do życia...

POPIÓŁ (powoli wychodzi zza węgła). Cześć zacnej kompanii! Cóż Łukaszu, chytry stary, ciągle swoje opowiadasz?

ŁUKASZ. Żebyś wiedział... jak on tu krzyczał!

POPIÓŁ. Kleszcz? Co mu się stało? Poleciał jak oparzony.

ŁUKASZ. I ty tak polecisz, kiedy ci coś tak pod serce podejdzie.

POPIÓŁ (siada). Nie lubię go, on jest zły, dumny. (Przedrzeźniając Kleszcza). „Ja— człowiek pracy" — A wszyscy gorsi od niego. Jakby nie wiem co. Pracuj, jeśli ci się podoba. Nie ma się co chwalić. Gdyby tak ludzi oceniać według pracy, to koń byłby najlepszy. Ciągnie i milczy... Natasza! U ciebie wszyscy w domu?

NATASZA. Poszli na cmentarz... potem wybierali się na nieszpory...

POPIÓŁ. Właśnie widzę, żeś ty dzisiaj wolna, jak rzadko.

ŁUKASZ (w zamyśleniu do Bubnowa). Ot, prawda, powiadasz. Prawda nie zawsze daje siłę człowiekowi... prawda nie zawsze duszę uleczy... Zdarzył się na przykład taki wypadek: znałem jednego człowieka, który wierzył, że istnieje na świecie sprawiedliwy kraj...

BUBNOW. Co takiego?

ŁUKASZ. Sprawiedliwy kraj. Musi być gdzieś — mówił — na świecie sprawiedliwy kraj... a w tym kraju — mieszkają zupełnie inni ludzie... dobrzy ludzie! Jeden drugiego szanuje... jeden drugiemu pomaga... i dobrze im się dzieje! I ten człowiek ciągle wybierał się iść, szukać tego sprawiedliwego kraju. Biedny on był, ubogi... a kiedy życie tak go już przygniatało, że tylko kłaść się i umierać, nie tracił ducha, a ciągle bywało uśmiechał się i mówił: to nic! Wytrzymam! Jeszcze trochę, a potem rzucę to wszystko i pójdę do sprawiedliwego kraju. To była jedyna jego radość, ten kraj...

POPIÓŁ. No i co? Poszedł?

BUBNOW. Gdzie? Ho-ho!

ŁUKASZ I przyjechał wtedy do nas — na Sybirze to było — jeden zesłaniec, uczony był człowiek.. Z książkami przyjechał, z mapami, różne inne miał cuda... I ten człowiek powiada uczonemu: proszę cię, pokaż ty mi, gdzie leży sprawiedliwy kraj i jak iść do niego? I zaraz uczony otwiera książki, rozkłada mapy, szuka, szuka — nie ma jakoś nigdzie sprawiedliwego kraju! Wszystko jest, wszystkie kraje jak na dłoni, a sprawiedliwego kraju ani śladu!...

POPIÓŁ (cicho). No i co? Nie ma? (Bubnow śmieje się).

NATASZA. Nie przeszkadzaj... I co dalej... dziadku?

ŁUKASZ. A ten nie wierzy... Powinien mówi być... Szukaj lepiej! Albo też te książki i mapy twoje, mówi, do niczego, jeśli na nich nie ma sprawiedliwego kraju. A uczony — w gniew. Moje mapy — mówi, są prawdziwe, a sprawiedliwego kraju w ogóle nie ma na świecie A na to człowiek wpadł w gniew. Jak to tak? Żyłem.. żyłem. cierpiałem, i wszystko z wiarą, że jest! A tu z map wychodzi, że nie ma! Okradłeś mnie! I mówi do uczonego ty draniu, podły ty jesteś a nie uczony i w szczękę go raz! i jeszcze! (Po chwili milczenia). A potem poszedł do domu i.. powiesił się! (wszyscy milczą).

(Łukasz z uśmiechem patrzy na Popioła i Nataszę).

W. Muchin — Fragment pomnika Gorkiego (projekt)

W 81 rocznicę urodzin M. Gorkiego

POPIÓŁ (cicho). Idź do diabła... historia niezbyt wesoła...

NATASZA. Nie zniósł oszukaństwa.

BUBNOW (ponuro). Wszystko bajdy.

POPIÓŁ. No tak... i masz swój sprawiedliwy kraj... nie znalazł się, powiadasz...

NATASZA Żal mi go...

BUBNOW. Wszystko wymysły! Ho-ho! Sprawiedliwy kraj! Gdzie?! ho-ho-ho! (Znika w głębi mieszkania).

ŁUKASZ (kiwa głową w stronę Bubnowa). Wyśmiewa się! Che-che... (Pauza). No, dzieci... powodzenia! Nie długo od was odejdę....

POPIÓŁ. Gdzie znowu?

ŁUKASZ. Na Ukrainę... Słyszałem, że odkryli tam nową wiarę... warto by zobaczyć... tak! Szukają ludzie... ciągle chcieliby jak najlepiej.. daj im Boże wytrwać!

POPIÓŁ Jak myślisz.. znajdą?

ŁUKASZ. Ludzie? A pewnie, że znajdą! Kto szuka... znajduje... Kto bardzo pragnie.., znajdzie!

NATASZA. Żeby tak znaleźli... Żeby tak wymyślili co lepszego..

ŁUKASZ. Wymyślą! Trzeba im tylko pomagać, dziewuszko... trzeba ich szanować...

NATASZA Co ja mogę... mnie samej nikt nie pomoże...

POPIÓŁ (stanowczo). A ja... ja muszę jeszcze raz pogadać z tobą, Natasza.. Teraz przy nim... on wszystko wie o nas. Chodź... ze mną!

NATASZA. Gdzie? Po więzieniach?

POPIÓŁ. Powiedziałem już — rzucę złodziejstwo! Jak Boga kocham — rzucę! Powiedziałem — dotrzymam! Jestem piśmienny — wezmę się do pracy. Ot — on mi radzi na Sybir iść dobrowolnie... pójdziemy tam, no? Myślisz, że to moje życie nie obrzydło mi? Ech, Natasza! Ja wiem.. widzę! Pocieszam się tylko tym, że inni więcej ode mnie kradną, a jednak... wszyscy ich szanują... tylko, że nic mi z tego nie przyjdzie. Przecież to nie o to chodzi! To nie jest żadna skrucha... nie wierzę w sumienie... Ale wiem jedno: Trzeba żyć... inaczej! Lepiej żyć! Trzeba tak żyć żeby można mieć szacunek dla samego siebie...

ŁUKASZ. Słusznie, mój drogi! Daj ci Boże... Pomagaj ci Bóg! Słusznie: człowiek powinien szanować siebie...

POPIÓŁ. Od małego byłem złodziejem... wszyscy nazywali mnie zawsze: złodziej Waśka, złodziejski syn Waśka! Aha? To to tak? No to niech wam będzie! Jestem złodziejem! Zrozum, ja może właśnie z tej złości jestem złodziejem.. jestem złodziejem, bo nikomu nigdy nie przyszło do głowy nazwać mnie inaczej... Nazwij ty... Natasza, dobrze?

NATASZA (ze smutkiem). Nie wierzę ja jakoś.. w żadne słowo. I jakoś mi dzisiaj... niespokojnie... ściska za serce... jakbym czekała na coś. Niepotrzebnie ty dzisiaj Wasylu ze mną o tym mówisz.

POPIÓŁ. A kiedy mam mówić? Nie pierwszy raz...

NATASZA. I jakże ja z tobą pójdę? Przecież... nie kocham cię tak bardzo... Czasem podobasz mi się... a czasem znowu patrzeć nie mogę.. Widocznie nie kocham ciebie... kto kocha — nie widzi w kochanym nic złego, a ja widzę...

POPIÓŁ. Nie bój się — pokochasz! Ja tak zrobię, że przywykniesz do mnie.. zgódź się tylko! Więcej jak rok patrzę na ciebie.. widzę jesteś poważna dziewczyna, dobra... pewny człowiek... pokochałem cię!..

Jan Czarny

LAMENT

Krematoryjny komin wyższy od wieży Eiffla o śmierć
Niebo wydeptane z chmur i słońca piętami umarłych
Pada deszcz łzy zamordowanych stukają o rynny
Wieje wiatr trzeszczą sosny od ostatniego oddechu
Piorun uderza w niewczesnym gniewie Boga
Konie na torach ciągną krematoryjne nosze
Zabawki w witrynach pomalowane krwią dzieci
Puszki z pastą do podług nabite cyklonem
Umarli mieszają farby na płótnach malarzy
Umarli piszącemu wytrącają pióro
Zamordowani cegły czynią czerwieńsze
Spaleni wapno czynią bielsze

Cieszmy się z fabryk w których palą węglem
Cieszmy się z szerokich weneckich okien
Cieszmy się z klombów dla najbiedniejszych
Cieszmy się z dnia który nie jest nocą
Cieszmy się z życia które nie jest śmiercią

ROBOTNIK

Twoją ręką zbudowane przęsło
Triumfalny łuk nad czerwoną dalą
Twarda kopuła która świat ochrania
Klamra co ziemi nadaje statyczność

Twoją ręką zbudowany most
Dłonie splecione nad przepaścią wieków
Tęcza nadziei wyczekujących
Drabina wiodąca ku światłu

Twoją pracą zarobiony chleb
Nasyci tego który przyjdzie na świat
Bryła węgla odbita w sztolni
Ogrzeje dziecko które się narodzi

Twoją ręką podłożony dynamit
Strąca w przepaść i wysadza zło
Prostuje światło i oddech
Otwiera drogę ku życiu

BUDOWA KANAŁU W UZBEKISTANIE

Milionoręki zasypuje słońce
Zapalone badyle wspominają zachód
Nad ranem ziemię skrwawioną kietmeniem[1])
Ubija traktor

Idą kobiety o brwiach z uriuku[2])
Ciepły wiat chwieje łodygami rąk
Płacz instrumentów w kształcie dziwnych gruszek
Drży wokół piasków

Rynną kanału ścieka słońce
W dołek pod kotłem pełen żaru
Znów słowo „non"[3]) rozpiera ciszę
Rzucając gwiazdom pieśń o chlebie

1) kietmeń — okrągła motyka.
2) uriuk — śliwa.
3) non — chleb.

Zbigniew Stolarek

DZIECKO ROŚNIE W SEWILLI

Maria Hernandez, z przedmieścia Sewilli,
potrząsa grzechotką. Ale gdzie tam...: Dziecko płacze i płacze.
Mleka by dać. To by się uspokoiło.
A mleko nic a nic nie tańsze.

Grzechotka ma taki suchy dźwięk,
jakby jedną pesetą w ręce chudej potrząsać
...Maria nad kołyską zasypia. Rzekę mleka widzi we śnie...
Ale rzeka krwią zaraz nasiąka...

— Maria Hernandez?... „Podejrzana. Mąż walczył przeciw..."
(to wie dobrze o Marii sewilska policja).
A Maria grzechotką potrząsa nad płaczącym dzieckiem
i śpiewa chropawo (bo nie umie śpiewać): Była wielka bitwa...

...Była wielka bitwa — śpiewa Maria Hernandez —
krew płynęła, by dla wszystkich popłynęło mleko...
— Tak śpiewa. I oczu dziecka dotyka wargami.
— Zostanie piosenka pod dziecka powieką!

Paul Vaillant-Couturier

Przekład autoryzowany Marii Straszewskiej i Ludwika Rene

O jednego kulisa więcej

W roku 1937 zmarł poeta, mówca porywający tłumy, publicysta o niezwykłej erudycji, wrażliwości i uczciwości naczelny redaktor komunistycznego pisma „Humanite" — Paweł Vaillant-Couturier.

Zwiedziwszy niemal cały świat, wydał cykl nowel i essay'ów, w których maluje wyzysk i niesprawiedliwość systemu kapitalistycznego.

Niestrudzony bojownik Wielkiej Sprawy Postępu i Pokoju budził sumienie intelektualistów całego świata przeciw rosnącemu barbarzyństwu epoki faszyzmu.

Nowela, którą umieszczamy, jest jedną z cyklu zatytułowanego „Gwiazda poranna wschodzi" — a powstałego w 1933 r. podczas podróży po Chinach.

O jednego kulisa więcej w Szanghaju: Dżu-i jest człowiekiem zza rzeki Jagn-Tse. Takich, mieszkańcy Szanghaju nazywają Kan-po-nin: najnędzniejszy spośród nędzarzy. A przecierz większość robotników w Szanghaju to Kan-po-nin, ci, co dźwigają ciężary, ciągną wózki bagażowe, tragarze, kulisi, rikszarze. Kan-po-nin to już prawie nie człowiek, to zwierzę robocze. Dżu-i, który przedtem nigdy nie opuszczał swych marnych trzech grządek ziemi, nie mogąc z nich wyżyć, musiał sprzedać swoje ostatnie graty i razem z żoną, synem i córeczką powędrował na południe. W Szanghaju zamieszkał w trzcinowym szałasie na brzegu cuchnącego kanału; miał jeszcze niecałego dolara w drobnej monecie.

Dżu-i, który naprawdę przedtem nigdy nie opuszczał swojej wioski, był człowiekiem prostym, a umysł jego pracował powoli. Nie mógł myśleć o kilku rzeczach naraz. Nie był on może przez to głupszy od innych, tylko po prostu nikt nie rozbudził jego umysłu. Za to siłę i wytrzymałość miał iście końską.

Ale w Szanghaju trudno znaleźć pracę.

Zapytał swego sąsiada Li-ju, jak mógłby zarobić „bo jeść trzeba".

„Jeżeli chcesz — odpowiedział Li-ju — wynajmiemy sobie we dwóch rikszę i będziemy ją ciągnąć na zmianę: jeden w dzień, a drugi w nocy. Ja zajmę się wynajęciem". O, Li-ju był człowiekiem bardzo chytrym. Poszedł do przedsiębiorcy wynajmującego wózki i wydzierżawił od niego rikszę za opłatą dolara dziennie.

Z triumfem pokazał Dżu-i rikszę, mówiąc: „Wynająłem ją za dolara i dwadzieścia centów dziennie. — Jutro rano, kiedy będziesz mi ją oddawał musisz mi przynieść 60 centów". A równocześnie, aby się usprawiedliwić przed sobą samym, powtarzał sobie przysłowie: „Z dwóch ludzi zawsze musi być jeden, który spija miód, a drugi, który wyciera dzban". To samo zresztą powtarzają sobie wszyscy pośrednicy, wykorzystujący niemiłosiernie kulisów, ciągnących rikszę. A wygląda to w ten sposób: ktoś, kto ma znajomość w jakimkolwiek urzędzie miejskim dzielnicy francuskiej, angielskiej czy międzynarodowej, może to być doktór, adwokat, bankier czy też właściciel knajpy, daje łapówkę jakiemuś wysokiemu urzędnikowi i za to otrzymuje pewną ilość licencji na rikksze, płacąc za jedną licencję powiedzmy — dwa dolary miesięcznie. Licencje przechodzą później z rąk do rąk pośredników. Łańcuch spekulantów rośnie. W końcu dochodzą one do tych, którzy ciągną rikszę i którzy jak Dżu-i muszą płacić za nią dolara dziennie.

W ten sposób przeszło 35.000 riksz krąży po Szanghaju i przeszło 35 000 kulisów-nędzarzy żywi swą ciężką pracą garstkę spekulantów.

Riksza jest najlepszym dowodem „przeludnienia" Chin. Pocóż mieć konie, czy traktory, pocóż mieć dźwigi i inne urządzenia portowe do wyładowywania statków, kiedy Chiny przepełnione są ludźmi, z którymi nie wiadomo co robić. Przecież każdy zarządca prowincji oddycha z ulgą, gdy wskutek jakiejś powodzi lub głodu ginie nagle pół miliona lub więcej jego rodaków.

O jednego kulisa mniej lub więcej.

Dżu-i wyruszył ze swą rikszą. Myślał, że wystarczy umieć biegać, by zarobić na życie ciągnąc rikszę w wielkim mieście.

Poszedł najpierw wzdłuż „North Setchouan Road" w kierunku rzeki Su-cze-u. Tu mógłby nawet złapać jakiegoś klienta, gdyby sama ulica nie była tak bardzo zajęta. Przede wszystkim bał się co chwila. Bał się dużych ciężarówek, które przejeżdżały naładowane skrzyniami, albo policją. Bał się limuzyn, które prawie ocierały się o niego i sam nie wiedział, gdzie patrzeć, czy na prawo i lewo, na wystawy sklepowe, czy na pojazdy, które zagrażały jego życiu. A przecież umiał myśleć naraz tylko o jednej tylko rzeczy.

Był dosyć ciepły wieczór wiosenny. Od czasu do czasu silne fale wiatru i deszczu uderzały w miasto.

A pot spływał po ciele Dżu-i wielkimi kroplami, już na sam tylko widok tych dziwów, na które patrzył.

Oto rzeka Su-cze-u. Mnóstwo na niej łódek i dżonek, a na nich mnóstwo ludzi, którzy tutaj żyją, śpią, pracują i jedzą. Dżu-i byłby na to patrzył jeszcze długo, gdyby ktoś, kto wychodził z poczty nie wsiadł do jego rikszy mówiąc: „Dżofi-Lu" dwadzieścia „coppers" i wskazał wachlarzem kierunek.

„Tak panie" — odpowiedział Dżu-i i ruszył. Nie orientował się zupełnie ani w cenie, ani w długości tego kursu, nie wiedział też, gdzie mogło się znajdować to „Dżofi-Lu".

Otóż Dżofi-Lu, inaczej mówiąc aleja marsz. Joffre'a, jest na drugim końcu Szanghaju w dzielnicy francuskiej i ma więcej niż 2.000 numerów.

Była to pora, w której ulice są najbardziej ruchliwe.

Gdy wmieszany w tłum riksz i pojazdów przeszedł „Duma-Lu" przestraszył się zobaczywszy tylu ludzi, tyle tramwajów i wozów. Uskoczył w bok jak spłoszone zwierzę, tak że o mało nie wywrócił swojego klienta, który rozgniewał się. Był to gruby, wytworny Chińczyk w okularach w złoto oprawnych. Od czasu do czasu pochylał się on do przodu, wołał na Dżu-i i końcem wachlarza wskazywał mu nowy kierunek. Dżu-i był już cały spocony i biegł nie pytając, jak to jeszcze daleko. Biegł tak przez „Dżofi-Lu", minął „Dube-Lu", „Lobe-Lu", „Mesie-Lu", „Latu-Lu". Krew uderzyła mu do głowy, a pierś jego podnosiła się i opuszczała w krótkim urywanym oddechu. Gdy dobiegł do „Dufu-Lu" za dzielnicą francuską, klient zatrzymał go i wręczając dwadzieścia „coppers" ogłupiałemu i dyszącemu Dżu-i, odszedł wzruszywszy tylko ramionami... Kurs trwał przecież przeszło trzy kwadranse.

Dżu-i schował starannie pieniądze do swojego skórzanego paska. Łachmany przylepiały mu się do ciała — chciał trochę odpocząć. Opuściwszy dyszelki wózka usiadł na jego stopniach. W tej samej chwili zerwał się mocny wiatr, który zmroził go od stóp do głowy. Zdawało mu się, że zimo zapaliło mu jakiś ogień w piersiach. Potem zaczął padać deszcz. Wtedy Dżu-i ruszył z powrotem, bojąc się, by nie zmylić drogi. Brodził po wodzie, chłostany ulewą i wlókł się drogą bez końca w kierunku, z którego przyszedł. I nie znalazł żadnego klienta.

Gdy, minąwszy duży hotel, cały iluminowany czerwonymi światłami, dobrnął do „Albe-Lu", wpadł nagle w wir uciekających rikszarzy. Nie wiedząc nawet, o co chodzi, wysforował się prędko na czoło tego tłumu, tak jak koń wyścigowy, gdy panika ogarnie stado zwierząt.

Policja francuska gnała przed sobą to stado kulisów, chcąc sprawdzić ich licencje. Było to prawdziwe polowanie na człowieka, prowadzone przez ogromnego Rosjanina, byłego białogwardzistę, w mundurze policjanta francuskiego, otoczonego całym tłumem policji francuskiej i chińskiej na rowerach.

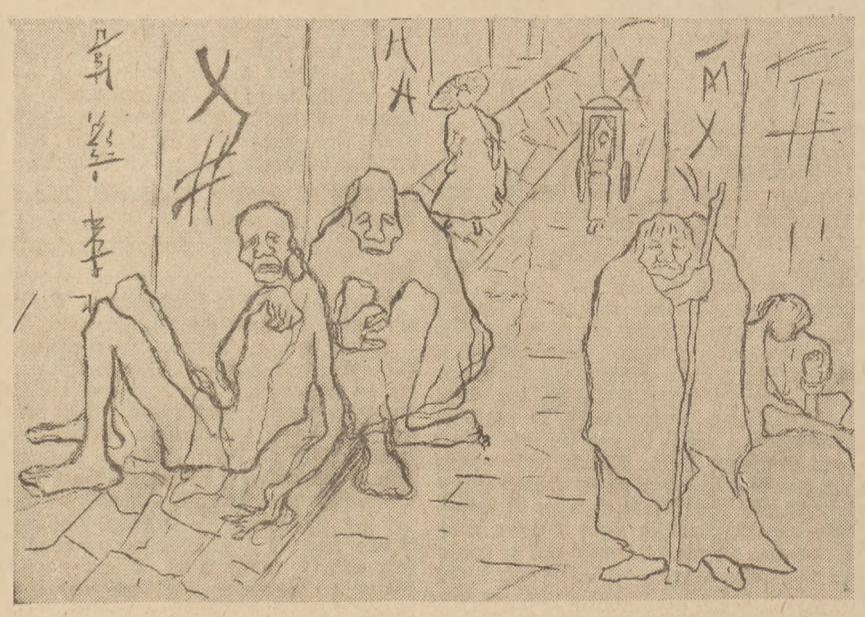

rys. H. Orzechowska

rys. H. Orzechowska

Kilka riksz zostało wywróconych w ucieczce i policjanci zrywali z nich poduszki i numery licencji. Kulisi, którym udało się uciec, zatrzymywali się z daleka i patrzyli przerażeni. Niektórzy weszli ostrożnie w „Dume-Lu", by stąd dostać się do dzielnicy międzynarodowej.

Dżu-i poszedł za nimi.

Późna już była noc, a Dżu-i miał dopiero jednego klienta. Był przemoczony i wstrząsały nim dreszcze.

W „Edua-Lu" jakiś pijany cudzoziemski żołnierz, który awanturował się z całą bandą swoich kolegów wsiadł do rikszy Dżu-i.

Dżu-i miał za mało doświadczenia, aby wiedzieć, jak dobrym interesem było mieć białego klienta. Biali dają prawie zawsze srebrną monetę za kurs. Ale Dżu-i przede wszystkim czuł strach przed swoim klientem.

Żołnierz śmiał się, dowcipkował ze swoimi pijanymi kolegami, których załadowali inni rikszarze, klął Dżu-i i prowadził go uderzając po ramionach, nogach i bokach. A Dżu-i starał się być posłuszny jak dobry człowiek-koń, zdając sobie sprawę z niewystarczającej swej tresury. A nawet od czasu do czasu szczerzył zęby w uśmiechu, odwracając się do swego klienta.

Klient, wysiadając dał Dżu-i srebrną monetę i Dżu-i był bardzo zadowolony. Ale inni rikszarze gonili za swoimi klientami targując się jeszcze o większą zapłatę, podczas gdy policjanci pełniący służbę przed knajpą marynarską „Charleston", grozili kijami i przeganiali ich.

„Czy nie wiesz, że od obcokrajowców zawsze trzeba żądać więcej, niż ci dają. Oni nie znają prawdziwej wartości naszej pracy" — mówił do Dżu-i, kaszląc i ciężko dysząc, jeden z rikszarzy.

Ale ani Dżu-i, ani ten drugi kulis nie zdawali sobie sprawy, że w zdaniu tym przebijał się pierwszy promień świadomości klasowej.

Rikszarz widział tu tylko obcokrajowca, którego można było wykorzystać, ale równocześnie znajdował się w obliczu kogoś, dla którego praca przedstawiała jakąś wartość. I dlatego należało żądać więcej, tym bardziej, że obcy nie znał przypuszczalnie reguł gry

eksploatowania rikszarza. Niewyraźnie jeszcze i poomacku nabierał rikszarz poczucia, że jego praca mogła mieć wartość srebra zamiast wartości miedziaków.

Dżu-i poszedł dalej. Kończyła się noc — knajpy zaczynały się opróżniać, a Dżu-i miał do tej pory zrobione dopiero dwa kursy i zarobił zaledwie połowę tego, co miał zapłacić Li-ju. Idąc za innymi wózkami, kręcił się koło lokali na Broodway i na Setchouan-Road, ale nigdzie nie znajdował klienta. Był głodny, ale nie śmiał jednak wydać swoich groszy na kupno placków, które sprzedawały dzieci w łachmanach. Przy lokalu pod „Czarnym kotem“ zobaczył paru rikszarzy, którzy grali w „krótszą słomkę“. Wtedy pomyślał, że mógłby też wygrać. Zaczął grać i wygrał. Zagrał po raz drugi i przegrał. Wtedy zagrał raz jeszcze i przegrał raz jeszcze. Przegrał całą srebrną monetę, którą dostał od pijanego żołnierza Później — odegrał i przegrał znowu część miedziaków, które zostały mu ze sprzedaży gratów Byłby może grał jeszcze, gdyby nie jakaś koreańska piękność, wyczerpana tańcem i nocą, która wychodząc z lokalu, uderzyła go wachlarzem po ramieniu i wskazała mu kierunek. Podniósł się i ruszył... Nagle zrozumiał ogrom tego, co stracił. Brak pieniędzy na zapłacenie Li-ju. Pieniądze na ryż jutrzejszy przegrane. Głód dwojga małych dzieci. Zostały mu tylko trzy godziny, żeby to wszystko odrobić z powrotem.

Musi znaleźć klientów za wszelką cenę — pięciu klientów, dziesięciu klientów. I człowiek-koń plątał się w swoich dyszlach. Senna Koreanka zarzucała go obelgami, których w ogóle nie słyszał. I tak biegł i biegł, goniąc za pieniędzmi na ryż.

Nagle na zakręcie ulicy jakiś blask światła, hałas łamanego żelaziwa. drzewa, szkła. Koreanka uciekała przeraźliwie krzycząc. Dżu-i z rozgniecioną czaszką leżał pod japońskim samochodem wojskowym.

Gdyby nie ten wypadek, Dżu-i żyłby może jeszcze z pięć lat, ciągnąc rikszę. Można żyć będąc rikszarzem przeciętnie pięć lat, później umiera się. Dla niektórych życie takie trwa dwa lata, dla innych dziesięć. Dla Dżu-i była to tylko jedna noc.

O jednego kulisa mniej w Szanghaju.

Paul Vaillant-Couturier

Maria Kościńska Ilustr. **H. Orzechowska**

Porachunki pod jabłonią

(Fragment powieści)

Wikta wróciła dopiero późnym wieczorem. Z niechęcią spojrzała na węgły ubogiego, ciasnego domu; niechęć do domu działała na nią tak silnie, że wypędziła nagle wszystek strach, jaki ją dręczył całą powrotną drogę. Gotowa była wielbić to, co jest własnemu domowi przeciwne. Przeszła przez wrota i usiadła pod jabłonką na ławce. Uwiązany na łańcuchu Burek szczeknął dwa razy, pokręcił ogonem zadowolony.

U sąsiada skrzypnęły drzwi. Z ganeczku po schodach kiwał się Cięciel w uwijającym się chodzie. Pasek zarzucił na kark, w obie garście ułapił spodnie i pędził za stajnię do wychodka. Wikta zaczekała, aż ucichły kroki na udeptanej trawie i zbliżyła się do płotu sąsiada. Podpatrywała, co się na obcej oborze dzieje. Ale nie działo się nic. Dyle pod powłóczkę chlewków nie były jeszcze ociosane, nie był też jeszcze oszalowany ganeczek — jej największa bolączka: chciała taki ganeczek widzieć przy swojej ojcowiźnie. Tylko zza stajni posłyszała głośne, przysadzające się stękanie.

— Cięciel to chłop oparzelisty — zaśmiała się. — Jeszcze dobrze nie wyliże miski z jadła, już trzyma portki w garści.

Na ganeczku zajazgotały głosy. Hebdy wylegli na pole i zaczęli wietrzyć spocone z wieczerzania twarze w wieczornym chłodzie. Hebdzina uwiesiła się z córką na korbie u studni. Cięciel wylazł zza stajni i usadowił się na nieociosanych dylach. Koło starego cieśli przysiadł się Hebda i jego dwóch dorastających synów. Z przeciwnej strony zabudowań uderzył ktoś badylem bobu w sztachety ogrodzenia i zawołał znienacka:

— Cięcielu, opowidzcie no godkę!

— A co za to dostanę? — zapytał Cięciel zmrużywszy oko.

— Papirosa

— Utrzyj se lepi pod nosem szpika! — Cięciel poruszył nosem i krzywił pocieszznie wargi udając oburzenie.

— A utrę se! — zaśmiał się młodzieńczy głos zupełnie nie stropiony.

Wikta poznała po głosie brata i gwałtownie odskoczyła od płotu. Wszystka krew odpłynęła jej z twarzy; Józek przeskoczył płot i usiadł na dylach u sąsiada. W milczeniu patrzał na Rózię uwieszoną u studni i dostrzegł, że studnia jest pokryta nowiuteńkimi, heblowanymi deskami. Okrągłe, żółte sęki połyskiwały do księżyca. Następnie przysadził się do cieśli, zaczął go molestować nieustępliwie, jak dziad po prośbie. Mimo wszystko gadka byłaby spełzła na niczym. Cięciel oganiał się od chłopaka, jakby wpadł w banię osią. Lecz w tym momencie Rózia przyfrunęła ze studni na kraj dyli. Niebieskie, dziewczęce oczy, różowe usta, proszące również o gadkę miały w sobie coś, czemu się Cięciel nie oparł.

— O cem tu gwarzyć? — frasobliwie pocierał czoło.

— A gwarzcie o cejcym — naprzykrzali się wszyscy.

— O cejcym?... Tak sie wom ino godo... Nimom nic takiego na podorędziu. — Ociągał się chwilę, czekał aż wszyscy usadowią się koło niego. — Dy to wiecie tak było wej—pyknął fajkę.—Welo wielkiego postu wygnali gazda parobka do spowiedzi. A ze nie było parafije we wsi, wybroł sie jaze do Łącka. Przywyknięty do wcześnego wstawanio wdziwoł po niewidoku gunioki i gurmanę. Z kurpieliskami siepoł sie długo — bo to wicie — po nocy ni mógł nawlyc rzemycka. Ale jakosi se ta poradził. Wnetki rusył przed się — bo moiściewy — do Łącka mioł karwas drogi. Przysedł na cas. Mse jesce nie było. W kościele uzroł narodu nabite co nima rady. Nie wiele myślący przeźgoł sie naobec do środka i posmykoł sie klęcęcy ku spowiednicy pomiędzy lezące baby. Baby jak baby. Jak to głupie baby: modliły sie wszystkie z gębami na ziemi; zadki wystryknęły na kościół ku świętym obrazom. Nas parobek dożgoł sie ku krotkom. Nie wiele sie piestrajęcy z cizbom bab, wreligoł sie na spowiednicę. Przy krotkach bęknął sie trzy razy w piersi i pado do dobrodzieja: „Nimom zodnych grzychów“. Ksiądz przyźroł sie mu bacnie bez krotki. „Świętygo parzys — przytarł parobka z miejsca. — Z doliny Jozafata-ś nie przysedł!... Z oców ci grzychy patrzą... Bedemy próbować coś przeskórzył... Do kościoła na msą świętą chodzis?...“ Parobek skocył z pyskiem w te dyrdy na dobrodzieja: „A mom kościelne buty?“... Ludzki ksiądz rozperswadować grzyśnikom umioł, a i pośpasować lubioł. „Ale do karcmy i na muzykę to buty mos — drwił se z parobka. — Wyciągnies ze skrzynie opucowane, wyglańcowane, te kościelne... Wieleś razy był w karcmie i na muzyce?“ „A dadzą mi to gązda iść?“ — siepnął sie parobek. „Ale kraść to kradnies gazdę? — zaseptoł ksiądz bez krotki. Parobek wrzosnął w krotki na całe garło: „A do sie to!?“

Siedząc nieruchomo na ławce Wikta nie włączyła swojego śmiechu w ogólny śmiech towarzyszący gadce. Właśnie jakby na przekór zakręciły się jej w oczach łzy. Myśl o karzącej pięści brata za to, że się wymknęła niespostrzeżenie z domu, napełniała ją teraz nie tyle strachem, ile buntem i żalem. O sprawiedliwości dziadek goda na świecie, która nastanie... Ale kiedy?... — westchnęła z powątpiewaniem. Długo patrzyła w księżyc biegnący szybko nad lasem, niby gnany biczem Bożym bluźnierca. Przez listki jabłonki przeświecał i malował jasne plamy na ławce. Gościniec błyszczał szeroki i wygodny jak droga w daleki i piękny świat. Przytulone po obu stronach gościńca rowy wybujały połyskliwą w poświacie nieba trawą. A południowy wiatr niósł od Dunajca z wiklin rechot żab:

Regi nogi — kożuch drogi —
Regi regi regi reg!

W izdebce zapłakała Frania. Jej kwilący głos sączył się przez otwarte okno pod jabłonką. Anielka zaczęła poruszać biegunami kołyski. Zaśpiewała dziecinnym, cienkim głosikiem:

Uśnij ze mi uśnij,
Albo mi urośnij,
Mozes sie mi sprzydać,
Parę wołków wygnać.

Matka wyglądała przez okno i przeciągając złowróżbnie słowa powiedziała:

— Wikty nikań nie widać... Pozirom i pozirom... Ej zji ta dziopa smętka, zji!

Anielka zawodziła głośno głusząc przeraźliwy głos dziecka i rozgniewany głos matki:

Nie płac ze mi nie płac,
To ci kupię klepac —
Bedzies se klepała,
Nie bedzies płakała!

Obora u sąsiadów zaczęła opróżniać się z ludzi. Cięciel wyszedł wrotami na gościniec. Kiedy od strony śpichlerzyka zaskrzypiała furta, Wikta podniosła się raptownie z ławki i raptownie usiadła z powrotem. Józek stanął przy furtce majstrując około skobla. Następnie skierował kroki w podokółek.

W izdebce uciszyła się Frania, ukołysana śpiewem siostrzyczki. Całe zabudowania zalegała cisza jak po topieli.

Głowa Józka wychyliła się z podokółka, Księżyc przeglądał się w jego błyszczących włosach, jak człowiek w czystej, źródlanej wodzie. Energicznym krokiem szedł pod jabłonkę. Wikta posunęła się na kraj ławki i wyprostowywała palcami układankę. Józek zbliżył się do niej i w milczeniu zrywał listki z jabłonki dla zabawy. Po chwili odezwał się dowcipnie:

— Na spacerku inteligientna panienka była?

— Kolana Wikty rozsuwały fałdy układanki; milczała.

— Pytom sie gdzieś chodziła? — podniósł głos.

— Byłam u Stefki — bąknęła pod nosem.

— To widać mos dwa duchy...

Księżyc chlusnął w głowę Wikty świetlistą strugą lodowatych promieni.

— Mos dwa duchy? — spytał się Józek urągliwie.

— Co bym ta miała mieć aż dwa...

— Bo cię Cięcielonka widziała we wyrębie.

— Z kim? — wyrwało się jej bezwiednie.

— Wies z kiem...

— Ja byłam u Stefki.

— A we wyrębie kto był?

— Ja nie byłam, może kto inny...

— Włóc sie z tem bloszewickiem przybłędą, włóc!... Jesce i ty przywlec bochora do chałupy, bo nasych dzieci za mało!

Józek kołysał się na stopach, ugniatając raz obcasami a raz szpicem butów ziemię. Wikta patrzyła uparcie w ziemię:

— Uczyłam się u Stefki i odrabiałyśmy zadania.

Zapadnięte policzki Józka pokryte blado-ziemistą skórą, poruszyły się hamowanym gniewem w zaciśnięciu ust. Wsunął twarz w rozłożyste gałęzie jabłonki i krzyknął:

— A nie wies ty o tem ze ci do Stefki chodzić nie wolno?! Ze w chałupie jest robota?! Wszej bierzes rżniętkę za to ode mnie i wszej sie tamok włócys jak jako hadra! Kolezanki ci sie zachciwo?... Tu mos w stajni koleżankę-cielickę, w kołysce kolezankę-Frankę, którą trza bawić! Koleżanki są ino dlo próżnioków, dlo pańskich dzieci!

Kryjąc gniew w kącikach oczu Wikta poruszyła się na ławce:

— Ja jestem młoda. Nie możesz zabronić mi mieć koleżankę. I jak mnie zawsze będziesz bił, będę zawsze uciekała do Stefki. Ja kocham Stefkę!

— Kochos Stefkę — a z bolszewikiem sie włócys!

Nagłe uderzenie w głowę wyrwało ławkę spod siedzenia Wikty. Twarz uderzyła o kant ławki i zajęczała głucho:

— Matko ratuj mnie!

Z włożonymi w kieszenie rękami Józek pogwizdując czekał aż się siostra podniesie. Odwrócił się do szczekającego Burka, przytupywał nogami, nakazywał mu spokój. Ale pies biegał uparcie, brzęcząc łańcuchem, wzdłuż zabudowań.

— Pódzies do budy! — Józek przesadził oborę, chwycił za łańcuch.

Wikta podniosła się i wpadła we wrota. Pędziła jak szalona koło chałupy Hebdów w górę gościńca. Józek dogonił ją pod oknami sąsiada. Żelazna, kowalska ręka przycapnęła głowę, jak jastrząb kurę. Wlókł ją z powrotem. Szarpiąc za włosy jak konika za lejce, popychał dziewczynę do przodu sycząc:

— Ty włókno, zakało rodziny! Bedzies mi robiła wstyd, bedzies?! Bedzies sie zadawała z bolszewickiem zbrodzieniem, bedzies?!

Wikta szarpnęła się z całej mocy i krzyknęła buntowniczo:

— Albin nie jest zbrodniarzem! On chce tylko żeby zapanowała sprawiedliwość na świecie!

— Sprawiedliwość na świecie?! — wyszczerzył zęby i zacharczał. — Taki komunista bedzie zaprowadzał sprawiedliwość, co w Boga nie wierzy?! Taki co jedzie na księży jak na burych psów! Taki, co go ksiądz okantowoł publicznie z kazalnicy?! Nie pamitos ty o tem, co ksiądz publicnie na kazalnicy przekozoł?.. **Nie wolno nikomu przestawać z komunistą i wdawać się w pogwarkę — bo za to jest potępienie wiecne!** A ty przestajesz z nim i zniesławios całą rodzinę! Robis nom skandal!

W oknach u Hebdów zaroiło się od ludzkich głów.

— Józek obrobio Wiktę — szeptali między sobą. — On ji daje wyćwikę — zaśmiewało się dwóch dryblasów. — Ale ją oporządzo!

— Wolno mu — jego siostra.

— Wstyd bratu robi.

— Wstyd łojcu i matce.

Hebdzina wychylona przez okno wycierała brzuchem parapet, nagle chwyciła się za głowę i zaczęła zawodzić jak na pogrzebie:

— Rany gorzkie, rany gorzkie... Obraza Boża i zepsucie na świecie... Obrzódce zginęła kura — to ten bolszewik ukrodł— bo kto by inny?... Policyja go już sukają i odciupasują do kreminału. I Wikta przesiedzi się razem z nim, kiej na ludzkich ocach zadaje się z niem. Co za srom dlo bidnych łojców i brata! Bez kurę wpakują ją z bolszewikiem do dziury!

— Bolszewik kury nie ukrodł — furknął na lamentującą kobietę Hebda. Policyjany go posukują, za grubse, polityczne sprawy. Wywrotowe kawołki mo na sumieniu.

— Jak to nie ukrodł? — zaperzyła się wybałuszając oczy. — Przecie ksiądz na kazalnicy wołoł, że co komunista, to i złodzij, to i podpalac, to i zbrodzień. On kurę ukrodł — bo komunista!

Tymczasem za płotem pod jabłonką Józek walił Wiktę, jak młotem po kowadle. Walił w trzy miejsca: w głowę, w piersi, w brzuch.

Niby pijaczka po libacji Wikta upadła pod jabłonką. Po chwili uniosła się na rękach i brocząc krwią, jak kaleka bez nóg poczołgała się przez oborę w podokółek.

W plewni upadła twarzą w mierzwę.

Władysław Błachut

Głos ludu w jego pieśniach

1. ZAINTERESOWANIE „MUZĄ KMIECĄ"

W listach z 1802 roku, wydanych przez Akademię Krakowską w r. 1844, zwraca uwagę H. Kołłątaj na niezwykłe bogactwo tematyczne, tkwiące w pieśniach ludowych „pasterskich, wesołych, żałobnych, historycznych i tych, które dzieciom przy kolebkach śpiewają..." Stanowisko Kołłątaja podzielał w zupełności P. Woronicz, drukując w roku 1803 „Rozprawę o pieśniach narodowych", w której brał w obronę „pogardzaną dotychczas muzę kmiecą". W ich ślady idą z czasem inni, jak Kazimierz Brodziński a przede wszystkim Mickiewicz i cała plejada romantyków, odkrywających nagle urzekające piękno i szczególną wartość pieśni ludowej i wykorzystując jej ducha i treść w swoich utworach.

Również ówczesna prasa literacka, jak „Dziennik Warszawski", „Tygodnik Wileński", „Pielgrzym Lwowski" a nieco później (1834) wydawany w Lesznie „Przyjaciel Ludu" czerpią obficie z tego źródła i na swoich szacownych skądinąd łamach zamieszczają wiele utworów ludowych (pieśni, podania, przysłowia i legendy).

Mniej więcej od roku 1830 cała literatura książkowa, czyli — jak ją słusznie nazywa Maciejowski — szlachecka, zwraca się nagle do ludu i tam szuka ożywczych dla siebie „wątków, motywów, akordów samorodnych".

W postawie tej było wiele smakoszowskiego dyletantyzmu wobec pieśni ludowej, tego najwcześniejszego i stosunkowo najbardziej oryginalnego gatunku niepisanej początkowo twórczości ludowej. Wyławiano bowiem, ujmowano w zbiorach (m. in. Wacław z Oleska, Konopka, Żegota - Pauli, no i popularny Kolberg) i kultywowano przede wszystkim te spośród regionalnych pieśni ludowych, w których przebijała nuta odświętnej radości i beztroskiego pozornie humoru (pieśni weselne, dożynkowe i okrężne), akcenty oddanego przywiązania do dworu i plebanii, ckliwego sentymentalizmu, różnorodnych doznań religijnych i — jakże dziwnych w ustach pozbawionego wszelkich praw chłopa — uczuć patriotycznych.

Pieśń taka, jak słusznie podkreśla w swoich „Studiach o literaturze ludowej" pierwszy poważny badacz pieśni ludowej R. W. Berwiński (Poznań, rok 1854), miała w sobie niewiele oryginalnych pierwiastków ludowych, gdyż przechodząc z pokolenia na pokolenie poddawana była różnym wpływom zewnętrznym, obcym i rodzimym, a przede wszystkim kościelnym i szlacheckim. Karol Libelt przypominał, że „lud jest zawdy taki, jakim go mieć chcą księża, szlachta i rządy krajowe...", a ponieważ „księża, szlachta i rządy krajowe" chciały, aby ciemny chłopek był poczciwy i pobożny, pracowity, pilny, przywiązany do tradycyj, zadowolony ze swego losu i istniejących stosunków społecznych, więc też, wywierając decydujący wpływ na życie wsi łącznie ze stanami emocjonalnymi poddanych mas chłopskich, odpowiednio kształtowały tematykę pieśni gminnej, przerabiając na swój sposób krążące między ludem pieśni o zabarwieniu społecznym (jak je nazywano — światoburczym), oraz inspirując samorodną twórczość ludową o wybitnie życzliwym dla interesów pańsko - plebańskich nastawieniu.

2. „ODSŁANIAJĄCE STOSUNKI LUDZI ZOBOPÓLNE"

Dopiero po zniesieniu pańszczyzny ten stan rzeczy zaczął ulegać powolnej zmianie na lepsze. Niemniej i wtedy chłop pozostaje nadal w zaklętym kręgu przemożnych wpływów dworu i plebanii i niezwykle rzadko ośmiela się w pieśni ludowej, ubranej w niezgrabną, lecz uroczystą dla ludu formę mowy wiązanej, wystąpić przeciwko tradycyjnym instytucjom jego wyzysku, pożalić się swej krzywdzie i upomnieć o swoje prawa...

Składało się na to wiele przyczyn, a między innymi i ta, że swoje oryginalne pieśni i przyśpiewki improwizował nasz chłopek przede wszystkim w nastroju świątecznej radości, przy skocznej muzyce na weselach oraz z okazji składanego dorocznie dziedzicowi hołdu dożynkowego czy okrężnego. A równoległe wbijano mu w głowę poczucie godności stanowej, oczekując od niego pieśni zabarwionych dziarską tężyzną, animuszem i niefrasobliwym humorem, a pozbawionych akcentów społecznych, krzywdy czy poniżenia.

Wprawdzie w starej (1861 roku) Encyklopedii Orgelbranda w charakterystyce pieśni ludowych, a w szczególności krakowiaków, znajduje się zdanie, że „pieśni te odzwierciedlają wiernie, jak uczucia serca, radość i wesołość, tak smutek i boleść", ale uczuć „radości i wesołości" jest w nich bez porównania więcej niż wyraźniejszych akcentów „smutku i boleści", które zresztą ograniczają się prawie wyłącznie do przykrych przeżyć natury osobistej, np. zawiedziona miłość, zdrada, śmierć ukochanego czy ukochanej itp.

Oskar Kolberg w swym wielotomowym dziele pt. „Lud..." na temat pieśni ludowej pisał m. in.: „Wypada nam z porządku rzeczy przejść do skreślenia tego, co stanowiąc duszy tego ludu oddźwięk, wyrywa mu się w śpiewie z przepełnionej uczuciem radości i cmutku piersi, czy to dyktowane zachwytem chwili bieżącej, czy przekazane mu w spuściźnie z poetycznej jego praojców skarbnicy... Muzyka łączy się tu z poezją, bez niej nie ma pieśni, nie ma tańca ni obrzędu...

...Wszędzie w zbiorze niniejszym spotka czytelnik obok wytworniejszych pieśni i takie, które nader małą, a niekiedy i **żadnej poetycznej nie mają wartości.** Pominąć ich jednakże nie uważaliśmy za stosowne, już to dla wyższego niekiedy ich melodii polotu, **już ze względu na historyczne i psychologiczne ich znaczenie, gdyż wiernie odbijają one czasy, odsłaniają stosunki ludzi zobopólne, stopień cywilizacji,** pojęcia (osobliwie drobnej szlachty) **i wszelkie okoliczności, pod wpływem których zrodziły się i wykołysały.**

Z tej charakterystyki widać, że największą wartość znajdował Kolberg w pieśniach o zabarwieniu lirycznym, poetycznym, utrzymanych w tonie radosnym i sentymentalnym. Pieśni o tematyce społecznej, „odsłaniające stosunki ludzi zobopólne" i „stosunki cywilizacji" wydają mu się, o czym zresztą pisze na innym miejscu, nieokrzesane, płaskie, pełne prostactwa i gminnego dowcipu. Jako sumienny zbieracz rejestruje jednak i takie pieśni w swych bogatych zbiorach, a właśnie te nieliczne krakowiaki, mazurki, polki czy kujawiaki, w których przebija nuta krzywdy społecznej, niezadowolenia z istniejących stosunków, goryczy, skargi czy otwartego buntu, a które mają dla nas dziś szczególną wartość poznawczą.

Jest ich, niestety, w wielotomowym dziele Kolberga i innych zbieraczy z przyczyn, które wyżej starałem się krótko naświetlić, stosunkowo niewiele. Nie należy się jednak temu zbytnio dziwić, jeżeli zważy się, że i znacznie późniejsza autentyczna twórczość literacka pisarzy chłopskich nie śmie czy nie umie zerwać z kompleksem zależności od dworu i plebanii i starannie unika silniejszych akcentów społecznych...

Przekazane nam z czasów dawniejszych pieśni ludowe o zabarwieniu społecznym podzielić można na dwie grupy zasadnicze. W jednej, bez porównania ze zrozumiałych względów uboższej, będą pieśni, w których chłop, zresztą w sposób ostrożny i pełen niedomówień, ubranych często w żartobliwą formę, żali się na panów i księży, zaś w drugiej, o wiele bogatszej i pełniejszej (swoboda wypowiedzi) biedota wiejska przymawia bogaczom i często w pełnej wisielczego humoru formie uskarża się na swój los.

Pewien zasób tych w nieudolnej często mowie wiązanej przechowanych wypowiedzi pokrzywdzonego chłopa czy biednej dziewczyny wiejskiej, jakie z trudem udało mi się wyłowić w wielotomowych dziełach zbieraczy i rejestratorów pieśni ludowej, uważam za wskazane przytoczyć na łamach „Wsi", zachowując podział na opisane wyżej dwie grupy charakterystyczne.

3. PIEŚNI NA PANÓW I KSIĘŻY

„Oj Boze mój Boze, Boze mój jedyny,
Wynieś-ze mnie Boze z Mierzęckiej dziedziny.

Wynieś-ze mnie Boze z mierzęckiego pola,
Zanieś-ze mnie Boze kady wola Twoja.

Zanieś-ze mnie Boze, na sadowskie pole,
Tamci się roześmieje smutne serce moje.

Na mierzęckim polu seroko i długo,
Nie będą tu chodzić moje nózki długo.

Ani nózki chodzić, ani rącki robić,
Nie będziecie tutaj nade mną przewodzić".
(Kolberg, Lud... Kieleckie)

Jest to stara pieśń poddanego chłopa, który uskarża się na stosunki panujące w „dziedzinie", którą musi uprawiać i zapowiada ochotę ucieczki do sąsiedniego dworu, gdzie wyzysk pracy ma być mniejszy.

Wydźwięk prawdziwie tragiczny ma zacytowany w tym samym zbiorze Kolberga „krakowiak" katowanego pod Bożą męką chłopa (kuna kościelna, której często pleban użyczał dziedzicowi, wspierając w ten sposób ramię świeckie). Oto treść tego makabrycznego krakowiaka:

„Oj biją mnie, biją, zabić mnie nie mogą,
A bo mnie dziewcyna zastawiła nogą.
Zastawiła nogą, zastawiła ręką,
Oj biją mnie, biją, pod tą Bozą-męką".

I jeszcze jeden z tej samej grupy:

„Albo ja to maluśki, kujecie mnie w łańcuski!
Ja łańcuski o ziemię z dziewcyną się ozenię.

A bo ja to poddany, kujecie mnie w kajdany!
Kajdany mnie opadną, za dziewcyną, za ładną..."

Albo ten pełen ironii przyśpiew:

„Oj nie mas ci to nie mas, jako dworakowi,
da wsiądzie na konika jedzie ku dworowi.
Oj, dobry nas pan, dobry, kieby małe dziecię,
Oj, ale jego słudzy biją na zabicie..."

Ze zbioru Kolberga — Kujawy warto przytoczyć dwie pieśni, z których przebija nuta otwartej nienawiści do pomocników dziedzica w krzywdzeniu chłopów, względnie świadomość krzywdy i wyzysku. Oto one:

„Przede dworem wielka góra — nas polowy kieby rura.
Przede dworem stoją łany — nas karbowy pies kulawy.
A stoi tam subienicka, stoi
O za dworem, za dworem.
Któż będzie wisiał, kto będzie na nij?
A karbowy z polowym.

A za karbowym, a za karbowym
o ledwie uprosili,
A polowego, a polowego
o za łeb powiesili..."

„Chociaz ci ja jezdem chłopek, czy tez taki czy owaki,
Jednak tylko sobie z panów nic nie robie...

Zeby nie chłop, ktoby orał?
Kto zasiewał i chlib zbierał,
I ktoby pracował,
Panów utrzymował?

Wszystko to jest nasza praca, te pałace, te pieniążki,
Te karety i te cugi i te konie, wszystko bydło,
Czym się pany puszą, a nom głowy suszą..."

Z pewnością nie przypuszczał zapomniany autor tej piosenki, że jego słowa sprawdzą się kiedyś w całej rozciągłości. Na razie pan i jego ekonom czy polowy trzymali wieś mocno w garści i nie tylko nadużywali siły fizycznej chłopa, ale również nierzadko korzystali w całej pełni z niepisanego prawa cielesnej uległości swych nadobniejszych poddanek. Świadczy o tym duży stosunkowo zbiór wierszy w których wiejska dziewczyna żali się na krzywdę wyrządzoną jej przez pana czy panicza, względnie dla osiągnięcia korzyści materialnych ofiaruje im swe względy... Oto kilka takich wierszy:

„A mój ekonomie, bądźże na mnie łaskaw,
I na moje gąski, co se idą na staw..."

„Pan i dziewczyna".

„Szła dziewczeczka na trawę pod zieloną dąbrowę.
Przyszedł do niej stary pan. O Boże ci pomagaj!
Wieleś już nazona?
Och nie wielam nazona, bom dopiero poczona...
Chcesz dzieweczko moją być, czy wolisz u mnie służyć?..."

Gdy dziewczyna waha się zbyt długo, niecierpliwy kochanek wiedzie ją do dworu i każe słać łoże miłosne...

„Dzieweczka łożo ściele, paniczek się jej śmieje.
Gdyś je dziewko usłała, będziesz tu na nim spała.
Poczekaj ty mój panie, aż tę świeczkę zagaszę.
Ona świeczkę zgasiła, okienkiem wyskoczyła..."
(Bystroń, Zbiór pieśni ludowych)

Krakowiak Kolberga:

...„Nie kochaj dworaka, bo ci to nie służy,
Kochaj ogrodnika, da ci kwiatek róży.

Nie będę, nie będę, dworaka kochała,
Bo dworak pojedzie, cóż ja będę miała...

Dworacy, dworacy, chodzicie po nocy,
Dziewczęta za wami wytrzeszczają oczy.

A ja tobie myślę sukieneczkę sprawić,
Żebyś się przestała z dworakami bawić..."

Na tle miłosnym przychodzi również najczęściej do konfliktów między wsią a jurnym przeważnie proboszczem. Świadczą o tym m. in. następujące przyśpiewy:

...„Żebym ja był księdzem, tobym śluby dawał,
Która dziewka ładna, sobiebym zostawiał..."

„Księże Kanoniku, dobry spowiedniku,
O duszę się starasz i o ciało zaraz.
Księdzem być, księdzem być kazała mi mama.
Czemu zakonnicą nie została sama".
(Kolberg, Lud... — Krakowskie).

„Idzie ksiądz po drodze, dziewczę szaty pierze,
Rzuca księgi między rewerendy do Andzi się bierze.

Tyś jest poświęcony, pilnuj se kościoła,
Nie zaczepiaj biedny Andziulinki, bo nie będzie twoja.

Przyjdziesz do spowiedzi, to cię wyspowiadam.
Dam talara na nowe buciki, pokuty nie zadam...

Juzech tyle razy przy spowiedzi była
Jescech ja za zodną pokutę butów nie kupiła..."
(Bystroń, Śl. pieśń ludowa).

4. PIEŚNI NA BOGACZY I BOGACTWO

Rozróżniamy tu pieśni, w których biedny kawaler zaleca się do bogatej i skarży się na jej opiekunów, którzy mu jej nie chcą dać, dalej pieśni w których uboga dziewczyna skarży się na swój los, bo jest biedna i bogaty młodzian nie może się z nią ożenić, wreszcie pieśni, w których biedni wyrzekają na bogatych i uskarżają się na swoją dolę. Oto kilka tego rodzaju przykładów samorodnej twórczości chłopskiej:

„Ctery lata wierniem służył gospodarzowi,
rano wstajał — sieckę krajał, niech on sam powi.

A to wszystko dla dziewcyny, miło mi było,
bo się serce kieby smoła do nij lepiło...

Nie śmiałem się jej zapytać cy by mnie chciała,
Ctery wołki — Ctery krówki na wiano miała.

Przysed Bartek do matusie i wzion dziewcynę,
a ja teraz — niescęśliwy juz chyba zginę".

„Leciała, krzyczała gąseczka siodłata,
Żeniłbym się z tobą, aleś nie bogata.

Siedziała gąseczka na polu za wodą, —
Jeźli masz pieniądze ożenie się z tobą.

Jeźli masz pieniążki, pokaż śrybło, złoto,
Ożenię się z tobą z największą ochotą.

Nie pytaj się o to, bym pieniądze miała,
Tylko się zapytaj, czy cię będę chciała".

„A bodaj bym się była na świat nie rodziła,
Zeby mi się, zeby, ziemia rozstąpiła.

A świecie mój, świecie, nie uzyła ja cię,
Kie cie było użyć? Kiem musiała służyć.

A dobrze to, dobrze, posłużyć i przestać.
Niżeli na wieki nieszczęśliwą zostać..."

„Boże mój, Boże, pociesz mnie jeszcze,
Boć ten mój kochanek ze mną gadać nie chce.

Niech se on tam gada z kim mu się podoba,
Boch ja jest przed niego dziołcha za uboga.

Uboga, uboga, ubogo się noszę,
Jednak się tej babie o sny nie proszę...

Kukułeczka kuko, we mnie serce puko,
Każdy synek głupi, co bogatej szuko..."

Obok wyrazów skargi i melancholijnych utyskiwań, w pieśniach tego rodzaju znajdujemy dość często akcenty zdrowego humoru, ironicznej kpiny i chwilowego pogodzenia się z losem, który jednak kiedyś na pewno zmieni się na lepsze. Warto przytoczyć niektóre z tego rodzaju pieśni czy przyśpiew:

„Pytała się Kasia nadobnego Jasia, wiela on też portek ma.
A on ich ma dwoje, pojscane oboje, które mi ty wymachasz.
W piątek a w sobotę będziesz mieć robotę.
Będą portki jak nowe.

Pytała się Kasia nadobnego Jasia, wiela też ty koni masz?
Jeno jedno źrebię, hycel na nie dybie,
Taki ze mnie gospodarz.

Przedała pierścienie, kupiła mu konie, kazała mu furmanić.
Zajechał do Śląska, poprzedał ty końska,
A na Kasię wypion rzyć..."
(Bystroń, Śląska pieśń ludowa)

„Mamulko, tatulko przedajcie te owce,
Kupie se korale, bo mię żaden nie chce.

Insze się wydały, korali nie miały,
A ty się też wydosz, choć korali nie mosz".

„Jestem ja dzieweczka z ubogiego stanu,
A przecież mnie moja matka nie da lada komu.

Boć moje bogactwo jest wianek na głowie,
A ta jedna sukieneczka, co ją mam na sobie.

Sukieneczka jedna, fartuszek też jeden,
Musisz sobie takiej szukać co ich ma ze siedem.

Szukałem ja szukał, alem jej nie znalazł,
Jako ciebie, kochaneczko, która mną pogardzasz..."

„Uboga dziewecka naucona robić,
A ta sumno i bogato po spacerach chodzić..."

„Choć ja uboga, ubogiej matusie,
Nie będę dawać po kątach gębusie.

A ino ja dam kady ludzie widzą,
Nie będę się wstydzić, jak się inne wstydzą"

„Kieby ja miał ćtery reskie
Kupiłbym se dziewce łepskie,
A ze niemam i seląga,
musę pojąć lada drąga..."

„Pijesz do mnie, Jasiu, czerwonym kieliszkiem,
Twoja rodzineczka krzywi na mnie pyskiem.

Przyszedł na zaloty pyta się o wiano,
Onemu samemu wylazło kolano..."
(Kolberg, Lud...)

Oto krótki wybór pieśni ludowych o większym lub mniejszym ładunku społecznym. Pieśni to dawne, dziś już w wielu okolicach zanikłe, ale kiedyś były wyrazem chłopskiej krzywdy czy poniżenia i przypominają o tym następnym pokoleniom.

Tworzył je chłop osaczony przez system wyzysku i śpiewał ukradkiem, z daleka od dworu i plebanii, względnie, gdy wódka dodała mu odwagi, a muzyka i nastrój radosnego uniesienia zmuszały do śpiewania o tym, co go cieszy i boli. Niestety pieśń taka bywała zwalczana, a los chłopski pozostawał niezmieniony. Dwór i plebania długo utrzymywały „spokój i porządek" na wsi.

Emi ia Sukertowa - Biedrawina

O zbieraniu mazurskich legend, bajek i gadek

Niemieckich badaczy folkloru na terenie b. Prus Wschodnich uderzała osobliwość twórczości fantazji polskiej: spisywali oni podania i bajki. Można przeto znaleźć je porozrzucane — w tłumaczeniu na język niemiecki — po różnych wydawnictwach XIX-wiecznych.

Etnografowie polscy mało na ogół interesowali się baśnią i bajką mazurską. Po pierwszej wojnie światowej, kiedy to szmat ziemi mazurskiej, Działdowszczyzna, licząca 18 tysięcy autochtonów, przyłączona została do Polski — oczarowana fantazją ludu mazurskiego, zaczęłam notować najcharakterystyczniejsze „opowiadania starych“.

W roku 1923 ogłoszono drukiem „Legendy Grunwaldzkie“, które oplotły przechowane w pamięci ludu zwycięstwo Jagiełły, oraz pobyt króla na ziemi Mazurów. W książce „Mazurzy w Prusach Wschodnich“ (1927) zamieszczono ciekawe opowiadanie „O chłopie Konopce“ ze wsi Ogonek, co z diabłem wojował. Tego Konopkę, którego o ratunek błagał sam książę brandenburski, nazwano „mazurskim Twardowskim“. Baśń „Titelitury“, o wiejskiej dziewczynie, która przędła złoto ze słomy i o „Kołubku“, strąconym bóstwie pogańskim“ i o królewiczu Karol Małłek zapożyczył do swego obrazka scenicznego „Plon, czyli dożynki na Mazurach“. Baśń ta, inscenizowana w Mazurskim Uniwersytecie Ludowym w Rudziskach pod Pasymem, a ubiegłego roku w Krakowie, należy do najbardziej spopularyzowanych.

Ponad 30 klechd o „złym“, „kusym“, „biesie“, „pękatym“ i „ciorcie“, ogłosiłam w roku 1936 nakładem Muzeum Mazurskiego w Działdowie, pt. „Diabeł na Mazurach“. Znakomity etnograf polski Adam Fiszer wyraził się, że „diabeł mazurski jest rdzennie polski“.

Zbieranie tych klechd nie było łatwe. Przygodnemu zbieraczowi nic nie powie najlepszy bajarz. Podejrzewa on, że albo jego uważają za „głupsiego“ albo sam zbieracz jest... niespełna rozumu.

Aby klechdy i bajki nie zaginęły, postanowiono w Działdowszczyźnie wyłowić je przy pomocy — młodzieży szkolnej, pochodzącej z okolic. Przystąpiono do akcji planowej.

W Działdowie otwarte zostało w r. 1921 Państwowe Seminarium Nauczycielskie, które miało za zadanie wychowanie zastępu przyszłych nauczycieli spośród synów chłopów miejscowych, którzy poczęli się garnąć do tej uczelni. Dyrektor, Józef Biedrawa, rodem z Zaolsia, zapalony krajoznawca, żywo interesujący się zagadnieniem mazurskim, zorganizował koło krajoznawcze młodzieży. Plan pracy zakreślony był bardzo szeroko. Chodziło między innymi również o przerysowanie całego drzewnego budownictwa ludowego. Młodzież przystąpiła do pracy z zapałem.

Seminarzyści pierwszego kursu zbierali przysłowia i zagadki, na następnych kursach bajki, podania, baśni, humor, pieśni, notowali melodie, na ostatnim kursie opracowali monografie poszczególnych wiosek według planu, ze specjalnym uwzględnieniem sztuki ludowej i twórczości poetyckiej i muzycznej.

Na Mazurach

Charakterystyczny jest fakt, że młodzież prześcigała się w zbieraniu „bajek“ i tak zdołała zasugerować swoich „grózków“ i „grózki“, że wśród nich nastąpił wyścig: kto więcej i piękniej wnukom opowie.

Nauczycielstwo z wiosek wciągnięte zostało do akcji, nie tylko zachęcało dziatwę szkolną do zbierania po strychach i wydobywania „osobliwości“ starych dla muzeum, ale polecając dziatwie jako zadania domowe streszczanie bajek, opowiadanych przez dziadka lub babkę, zdobyło sporo cennego materiału.

W Muzeum Mazurskim w Działdowie, które niestety uległo zniszczeniu w czasie wojny, złożono całe stosy zeszytów, zapisanych przeważnie w gwarze. Celniejsze, ciekawsze bajki czy baśni drukowano w rocznikach „Gazety Mazurskiej“, wychodzącej przez 10 lat (1922—1933) dla Mazurów działdowskich, i przerzucanej za kordon, w dodatkach dla młodzieży i dziatwy „Nasz Świat“ i „Nasz Światek“ oraz w 16 rocznikach Kalendarza dla Mazurów. Szereg roczników ocalał i umieszczony został w bibliotece Instytutu Mazurskiego (dziś Stacji Naukowej Instytutu Zachodniego) — wraz z 15 egzemplarzami monografii (które opracowali również chłopcy z innych dzielnic Polski).

Rekord w zbieraniu „bajek“ zdobył Jerzy Burski z Pierławki, zebrał ponad 400 — które niestety padły ofiarą wojny. Do zapalonych zbieraczy spośród autochtonów należeli: Bohdan Wilamowski ze wsi Skurpie, Jerzy Wróbel, Ernest Kościński, Wojciech Olszewski, Robert Goerik, Jerzy Żywiec, Jan Niedanowski i inni oraz będący z nimi w ścisłym kontakcie, wówczas uczeń krakowskiej szkoły przemysłu artystycznego, Hieronim Skurpski. Nie brakło też chętnych wychowanków „zza kordonu“, jak Władysław Późny z Dębowca w pow. szczycieńskim i inni. Charakterystyczny jest fakt, że dziewczęta nie interesowały się tą dziedziną.

Zawierucha wojenna tak zaabsorbowała i wytrąciła z równowagi umysły, że na razie po wyzwoleniu o zbieraniu „bajek“ mowy być nie mogło. Z bunkrów wyciągało się wygłodzoną, na wpół nagą młodzież autochtoniczną i starców wystraszonych. (Poetka ludowa warmińska Maria Zientarówna po powrocie z obozu w Rawensbrueck wydrukowała w „Wiadomościach Mazurskich“ i „Życiu Olsztyńskim“ stare legendy Olsztyna).

Założony w lipcu 1945 r. Instytut Mazurski, którego celem i zadaniem było gromadzenie i naukowe badanie osobliwości regionu, pragnął uratować przed zagładą resztki bajek i pieśni mazurskich i warmińskich, świadom, że starzy bajarze schodząc z tego świata zabierają do grobu tak cenną po ojcach spuściznę. Przesłał szereg bajek Gustaw Optacy z Pisza oraz zjawił się młody entuzjasta Erwin Cichowski z Łyny pow. Nidzica, który wytknął sobie jako cel ratowanie przed zagładą baśni, bajki i pieśni mazurskiej, a także humoru. Co tydzień wyjeżdża do najodleglejszych wiosek, wyszukując w pierwszym rzędzie takie, które ostały się przed zawieruchą wojenną, które stanowią do pewnego stopnia rezerwat. Notuje Cichowski jednocześnie gwarę, która nie jest jednolita: niemal każda wieś posiada swoje osobliwości. Czuje się miejscami wpływ dialektu warmińskiego, lubawskiego, mazowieckiego...

Baśni mazurskie są pełne głębokiego uczucia, często odzwierciedlają się w nich dzieje ludu. Powtarza się motyw o zatopionych dzwonach, kościołach, o pokutującej dziewicy, która oczekuje wybawcy, o Topniku, wabiącym przechodniów w otchłanie wód jeziora, o Złoku, dowodzącym falami, które pochłaniają pływaków.

W bajkach świetnie są podpatrzone zwierzęta. Osobliwą cechą Mazura jest, jak zaznaczono, jego dowcip i fortel, dzięki którym poskramia diabła oraz wilki czy inne drapieżniki. Jest to humor chłopski, rubaszny i niefrasobliwy. Nie zdołały zdusić tego humoru ani prześladowania niemieckie, ani ciężka dola wojny.

Kpi sobie Mazur ze swych prześladowców: ze starego Fryca, z królowej, co tylko po niemiecku gadała, z żandarma pruskiego, co był prawdziwym postrachem wioski, ba „z samego gen. Mackensena“, który zmuszony był osobiście zerwać ze szczytu chałupy z drzewa wystruganego... Białego Orła polskiego.

Bajki, legendy, gadki i różne wesołe opowiadania mazurskie należy zbierać i notować. Bajarze bowiem schodzą do mogił, a autochtoni na Mazurach mieszają się z ludnością z Polski Centralnej, ich baśń czy bajka zatraci się tak samo jak i gwara. Już dziś dziatwa miejscowa zapożycza od kolegów i koleżanek wilnian — „śpiewności“.

Sam Cichowski nie podoła. Winni pośpieszyć mu z pomocą ludzie dobrej woli, ideowcy, którzy mają bezpośredni kontakt z wsią — a więc nauczycielstwo.

Z teki Instytutu Mazurskiego

Erwin Cichowski

Wesołe opowiadania z Mazur

...I znowu Nadolny

(Z własnych wspomnień, wesołych opowiadań sąsiadów w domu rodzinnym)

Nadolny—to „nie z jednej matki“. Dużo o nim na południowo-zachodnich Mazurach opowiadają. Lubili go wszyscy, bo różne figle płatał i zawsze „przyniósł coś nowego“.

Pewnego razu spotkał Nadolny kolegę, „co tys wendrował“. Ten był już o wiele starszy od niego; więc zaraz poprosił go Nadolny, aby usiadł na jednym z kamieni, które gospodarze przed wioskę złożyli.

Piękny był dzień; ptaszki śpiewały, słońce świeciło — więc nie miał Nadolny wiele czasu dzisiaj iść do gospodarzy, aby prosić chleba... Wiedział dokładnie, że każdy z gospodarzy z tej wioski chętnie wieczorem daje mu dobrą kolację i u każdego będzie mógł przenocować.

Pół bochenka suchego chleba miał tylko przy sobie — a tak bardzo pragnął „staruskozi“ coś lepszego przedłożyć, bo kto wie, może jemu też ktoś tak poda chleb, kiedy „przyndzie na niego“ starość.

Rybakówka

Gdyby tak trochę masła miał „na-chlyb“, albo trochę miodu dla gościa — ale, już wiedział: „fajno!“ — krzyknął zadowolony i wstał szybko.

A stary „strych“ (dziad) pyta:

— Co ti mas, ze tak ksic-is?

— Zostańta eno na siułke tutaj — ja zara powrócę.

Szybko odszedł z bochenkiem chleba w kierunku wioski. Tam wstąpił do bogatej i znanej jako bardzo skąpej karczmarki i zażądał litr miodu.

A karczmarka:

— Czy nie macie swoika? bo w papier to nie dobrze.

— Nimam — mówił Nadolny — ale, pocekajta, dajta mi kawauek noża.

Karczmarka dała mu nóż. Nim zaczął Nadolny ze swojego pół bochenka chleba wyrzynać ośrodek — i tak stał się z tego bochenka piękny słodk.

— No — mówił — jus je swoik; nalejta zara do chleby, bo i tak go zjem.

Karczmarkę zdziwił niezwykły pomysł — i nalała jak żądał.

Potem wsadził Nadolny rękę do kieszeni i zapytał się, ile miód kosztuje.

Wymieniła karczmarka kwotę za 1 kilo — a Nadolny oburzony:

— Co? to tyle chceta ode mnie? — to za drogo! tego nigdy nie zapuace, to je osukaństwo! — i skierował swoje kroki ku drzwiom.

Karczmarka zaczęła krzyczeć:

— oddajcie miód, oddajcie! — hola, bo zawołam żandarma!... — i lamentuje dalej.

A Nadolny zwrócił się i z udaną złością mówi do niej:

— Babo, co tak ksic-is, nie chce twojego mniodu, mas go nazad, zebiś niaua spokój — i wylał miód z powrotem do glinianego garnca, który jeszcze na stole stał.

A nim karczmarka zrozumiała sytuację — Nadolnego już nie było. Poszedł zadowolony do starego kolegi. Ten go po plecach poklepał i mówił:

— Aleś dobrze zrobziu; chociaż raz musiaua coś dać, bo nigdy ona mi nic nie daua — niech ji chocas za ten picek trochę mniód dobrze idzie.

— A Nadolny się cieszył, że staremu chleb z miodem smakował.

Pukropski miał rację

(Według opowiadania Michała Ozygusa z Piasutna (pow. Szczytno)

Pukropski dał sobie zawsze radę. Jego największą radością było przywlec z lasu dzika, sarnę, albo nawet jelenia. Wiedzieli o tym wszyscy — a niestety „żandarm“ też dowiedział się ostatnio o tym.

Musiał Pukropski przestać „przez chwilę chodzić do lasu“. Ale za to zbudował sobie chociaż w swoim ogrodzie samotrzaski na „zajynce“. Drut przechodził z ogrodu przez dziurkę w oknie i poruszał dzwonek, kiedy zając „wołał“.

Już kilka razy musiał w nocy wstać — a żona jego w tych dniach wiedziała co włożyć do garnka.

I to sąsiedzi „niarkowali“, a niedługo — i żandarm przyszedł.

Usiadł sobie na leżance z drzewa i zaczął o pogodzie itd., no, i potem o dzikach, sarnach i zajączkach.

— Tak — mówił Pukropski — z tyni zwierzyntani ma jus cłoziek swój kuopot; nie dość, ze dziki przeorzo latem caue pole, ale nawet w zimie ni ma cłolek spokoju. Zajynce obzro wszystkie małe drzewka w ogrodzie.

W tym mały dzwonek na suficie zaczął dzwonić.

— Co to jest? — żandarm wstaje i ogląda dzwonek. Spostrzegł drut, śledził go; widzi, że prowadzi do ogrodu, więc nic nie mówiąc

szedł szybko na dwór do ogrodu. A Mazur za nim.

A tu w ogrodzie, zamknięty w klatce z drutu siedzi zając i usiłuje wydostać się z niej.

— Co to jest? — żandarm dobiega klatki i wskazuje surowo palcem na zająca — już dawno słyszałem o tym — a nareszcie...

Ale Mazur nie dał mu dokończyć.

Uradowany poszedł do klatki, otworzył ją i mówił:

— Acha! zajoncku, nareszcie mam ciebzi — jus tak długo w moim ogródku szkodi narobziś; choć-no tu, zara ci pokaze...

Odłamał rózgę, złapał zająca za uszy i „nalał jemu skórę":

— Dlacego, dlacego, dlacego, ty ob-gry-zes młode drzew-ka? — Mas, mas, mas — byndzies esce raz gryźć — byndzies, byndzies, byndzies?

Przestał bić — a zając kręczy się i kręczy.

Spuścił go Mazur i mówił do żandarma:

— No, ale ten jus zięcy tutaj nie przyńdzie — i dodał podniesionym głosem w stronę uciekającego zająca — a pozies tam swoim współtowarzyszom w lesie, jek tu sie leje chaby.

...Tak dobrze Pukropski wygrywał swoją rolę, że żandarm zdziwiony stał i nic nie mógł mówić. A Mazur z zimną krwią nastawił na nowo klatkę i mówił:

— No, moze jednak esce jeden przyńdzie — ale jemu to naleje esce zięcy, jak ostatnemu".

Poprosił potem Pukropski żandarma, żeby wstąpił z powrotem z nim do mieszkania — ale ten ochoty już nie miał. Powiedział, że musi już iść dalej.

Pożegnał się i poszedł.

A Mazur stanął, patrzył z uśmiechem za odchodzącym żandarmem i mówił:

— Co na Mazurach rośnie — obcych nic nie obchodzi. Naturalnie nie mówił tego głośno — bo żandarm zaraz wsadziłby go do „gefengnisu".

O sprytnym Kruku

(Według opowiadań ludowych)

Za dawnych czasów, kiedy robotnik nie miał żadnej opieki ze strony rządu, a panowie uważali go za stworzenie dla nich pracujące, żył na Mazurach Polak nazwiskiem Kruk. Musiał on trzy dni w tygodniu swemu „łaskawemu panu" służyć, a w resztę dni uprawiał dla siebie ziemię, która była własnością obszarnika.

Rok był bardzo mokry, wszystko co zasiał, zaczęło gnić. Tak chętnie Kruk czyściłby rowy na swojej ziemi, ale mu czasu brakowało. Gdyby tak obszarnik dał ze dwa tygodnie urlopu! Ale jak tu łaskę pana uzyskać? Może bardzo nisko się pokłonić, coś zanieść?

Włożył Kruk najtłuściejszą gęś do kosza i udał się do dworu. Zobaczył go obszarnik i zawołał:

— No, Kruku, czy nie masz pracy, że tak spacerujesz?

Przedstawił Kruk swoją prośbę. Dziedzic był akurat w dobrym humorze, wiedział, że Kruk jest pracowity, więc pozwolił mu łaskawie przez dwa tygodnie tylko dla siebie pracować, a nawet zaprosił na obiad. Wstydził się Kruk bardzo swego ubrania i nie wiedział jak siedzieć przy stole, a wszyscy bawili się jego kosztem.

Ogarnęła Kruka złość. A obszarnik bawił się dalej:

— Kruku, teraz ty nam wszystkim przy stole podzielisz swą gęś, jak każdemu przystoi. Jest nas tu siedmioro, więc zaczynaj.

Kruk pomyślał chwileczkę, chwycił duży nóż, odciął głowę gęsi i położył na talerzu pana, mówiąc: „głowa głowie". Potem odciął szyję i dał ją żonie obszarnika, mówiąc: „do głowy należy szyja". Dwom administratorom dał po skrzydełku: „fruwajcie na polach i dobrze doglądajcie dóbr naszego pana". Kucharce i pokojówce dał każdej po nodze, żeby mogły szybko biegać.

— A ty biedny Kruku — rzekł do siebie na koniec — musisz zjeść resztę.

Pełen uznania dla sprytu Kruka dziedzic dał dodatkowo jeszcze 2 tygodnie urlopu.

Kruk pracuje już cały tydzień dla siebie przy rowach. Zdziwiło to sąsiada Pięścia. Poszedł do Kruka i dowiedział się, że za jedną gęś pan pozwolił mu na swojej ziemi pracować.

Włożył więc do kosza pięć kur, uważając, że dwa razy tyle urlopu otrzyma. Obszarnik zaprosił Pięścia również na obiad na który wszystkie pięć kur upieczono. Pięść policzył po cichu: siedem osób, a tu pięć kur tylko. I z podziału nic nie wyszło.

Zawołał obszarnik Kruka. Przyszedł Kruk i zaczął dzielić wszystko na „trzy". Pani, pan i jedna kura — to trzy, dwaj administratorzy i jedna kura — też trzy, kucharka i pokojówka i jedna kura — także trzy.

Dwie kury jeszcze zostały. A Pięść mówi:

— Źle, bo teraz — ty i ja i dwie kury — to cztery.

— Nie — mówił Kruk — dwie kury i ja — to trzy. A ty i twoje dwie pięści — też trzy.

Biedny Pięść niemal płakał. Nie dostał urlopu i stracił pięć kur.

Lecz Kruk wiedział, że otrzymał urlop tylko przez swój spryt i postanowił pomóc sąsiadowi, będącemu w takiej samej niedoli. Poszedł więc do Pięścia:

— Sąsiedzie, musiałem tak zrobić. Połowa urlopu jest tak samo i twoja. Powiem administratorowi, że przyjdę za ciebie pracować.

Józef Cichowski

Ignacy Kowalczyk

M I A S T E C Z K O

Fragmenty monografii

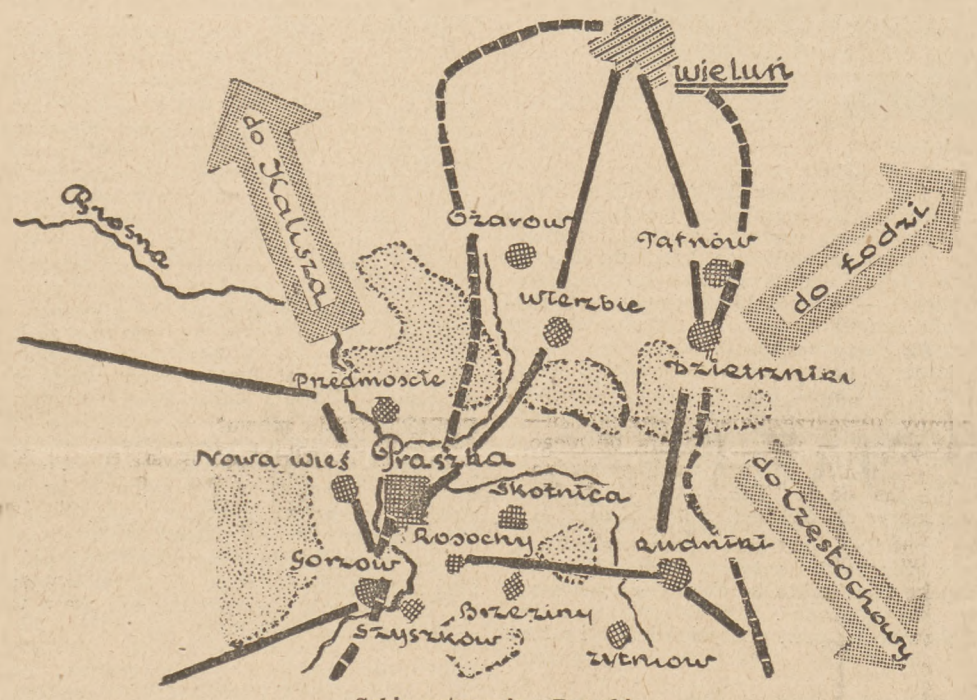

Szkic sytuacyjny Praszki
(Legenda: linie ciągłe — szosy, linie przerywane — koleje, miejsca zakropkowane — lasy)

1. RZUT OKA NA PRASZKĘ

Miasteczko Praszka znajduje się w powiecie wieluńskim, województwie łódzkim. Od zachodu oblewa je rzeka Prosna, będąca na tym odcinku granicą b. Królestwa i Górnego Śląska. W trzech pozostałych kierunkach ciągną się grunta orne i łąki praszczan. Od strony południowej wznosi się odosobniony łańcuch wzgórz, skąd czerpie miasto i okolica kamień żelaziak. Od strony wschodniej znajdują się pokłady rudy żelaznej.

Od północy grunta praszczan przecina dopływ Prosny, spory strumyk, zwany Rzeczną. Od wschodu płynie ku Prośnie rzeka Śmierdzączka, która oddziela od miasta przedmieście Bugaj. Poza tym grunta przecinają dwa mniejsze strumyki i kilka rowów, którymi woda spływa w czasie większych deszczów i na wiosnę.

Tereny miejskie wynoszą 870 hektarów, z czego 800 ha zajmują pola i łąki, zaś 70 ha budynki, ogrody, place i ulice. Ziemia uprawna w rękach 407 właścicieli, spośród których — 84 to okoliczni włościanie, posiadający 115 ha. Mieszczanie-rolnicy mają zwykle w rękach drugi zawód — rzemiosło lub handel.

W r. 1925 Praszka liczyła 5000 mieszkańców, w tym 3140 chrześcijan i 1860 starozakonnych. Ludność trudniła się handlem, rzemiosłami i rolnictwem. Rzemieślników było 205, w tym: szewców 112, krawców 28, rzeźników 22, piekarzy 9, stolarzy 7, kowali 4, innych 23. Handlujących było 180 w tym 42 rzemieślników (jarmarki).

Robotników wyjeżdżających do Niemiec na roboty sezonowe było 600, w tym 450 kobiet, robotników nie wyjeżdżających do Niemiec — 20.

Urzędników państwowych i samorządowych (urząd celny, straż celna, policja, sąd, poczta, stacja kolejowa, nauczycielstwo, zarząd miejski i gminny) zamieszkiwało w Praszce 82.

Znaczniejsze zakłady przemysłowe: młyn motorowy, tartak parowy i dwie małe garbarnie.

2. SZKOŁA W PRASZCE

Pierwsze wiadomości o szkolnictwie w Praszce — mamy dopiero z ostatniego dziesiątka XVIII wieku; istnieje wówczas w Praszce szkoła ludowa Komisji Edukacyjnej. Później, pod rządami Prus, Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego i Rosji szkoła w Praszce w dalszym ciągu istnieje. Przez całą drugą połowę XIX w. jest w dalszym ciągu tylko jedna szkoła: jest to rządowa 4-oddziałowa szkoła miejska. Ze szkoły tej mogły korzystać tylko dzieci tych rodziców, którzy byli w mieście właścicielami nieruchomości.

Szkoła miała tylko jednego nauczyciela, ilość miejsc była więc ograniczona, a jeżeli nauczyciel przyjął dziecko do szkoły nadliczbowo, to pobierał od rodziców opłatę. Do szkoły uczęszczały tylko dzieci chrześcijańskie w ilości 50 do 70, przeważnie chłopcy.

Niejedni rodzice, zdobywający z trudem kawałek chleba, marzyli o tym, by mogli ujrzeć swych synów na wyższym szczeblu drabiny społecznej, np. na jakimś urzędzie. Przeważnie marzenia te nie spełniały się: syn pracował na roli lub siadał przy warsztacie szewskim, a tylko jednostki dostawały się do biura, młyna parowego, sądu, urzędu celnego, pocztowego lub gminnego, albo też były wysyłane do powiatowego miasta Wielunia, lub gubernialnego — Kalisza na dalszą edukację.

Dzieci żydowskie były w położeniu jeszcze gorszym, gdyż wcale nie miały prawdziwej szkoły; chodzili wprawdzie chłopcy do hederu, nie byli więc analfabetami, jednak trudno nazwać nauką wiadomości przez nich pobierane w hederze. Gdy młodzież żydowska weszła w życie, musiała jednak częściej zetknąć się z cyfrą lub literą choćby ze względu na charakter swego, handlowego zawodu, wymagającego posługiwania się tymi elementami w stosunkach z władzami i klientelą.

3. INSTYTUCJE ŻYCIA KULTURALNEGO PRASZKI

Praszka nie wytworzyła inteligencji rodzimej. Jak w każdym podobnym mieście mieszkał tu obrońca sądowy, dwóch księży, lekarz i aptekarz, a oprócz nich urzędnicy Polacy: sekretarz sądu gminnego, sekretarz zarządu gminy i naczelnik poczty — zwykle wszyscy przybysze, gdyż urzędnik miejscowego pochodzenia nie długo wśród swoich mógł wytrzymać. Poza tym wytworzyła się inteligencja z miejscowej kolonii rosyjskiej, dość licznej z powodu znaczenia Praszki jako punktu pogranicznego, zatem siedziby komendy straży granicznej i komory celnej; założenie prowizorycznej cerkwi a raczej mnóstwa dzwonków przed cerkwią, nadawało Praszce przez kilkanaście lat pewne piętno rosyjskie.

Garstka młodzieży była skupiona w chórze kościelnym, prowadzonym przez organistę. Grono to składało się z dzieci zamożniejszych rodziców było jednak zawsze rozdzielone na dwie „partie", tj. „lepszych" i zwykłych. Nie lepszy głos śpiewaczki decydował o „partii", lecz stanowisko społeczne rodziców; chór często kojarzył małżeństwa!

Chór wykonywał tylko pieśni kościelne, niektórzy księża bardziej się nim interesowali, inni mniej. Czasem chór się rozwiązywał, lecz szybko organizowano nowy. Jedna z „partii" ponownie do chóru przystępowała i dobierano nowych śpiewaków, wtedy czasem przyjęto młodzieńca i z warswy „niższej", lecz posiadającego już pewną ogładę towarzyską.

Od dawna istniały w Praszce cechy, te jednak ograniczały swą działalność do przestrzegania przepisów rzemieślniczych i pełnienia pewnych posług kościelnych. Jedynie cech szewski prowadził w swej potężnej księdze protokółów kronikę ważniejszych wypadków w mieście, jak np. opis pożaru miasta w 1852 r., epidemii cholery itp. Szczytem honoru cechu było sprawienie dla kościoła okazałego sztandaru zgromadzenia cechowego każdego rzemiosła.

Urozmaiceniem monotonii długich lat starszego społeczeństwa było założenie w roku 1882 ochotniczej straży ogniowej. Dopóki instytucja ta zajmowała się akcją przeciwpożarniczą — wszystko było w porządku gdy jednak po kilku latach podjęła skromną działalność kulturalno-oświatową, została przez władze rosyjskie zawieszona i mogła znów powstać do życia dopiero w r. 1899.

Co robili obywatele miasta w chwilach wolnych od pracy? Chwil tych było w ogóle bardzo mało a jeżeli się one znalazły, to były zwykle spędzane w karczmie przy wódce. Karczma nie pozwalała nawet pracowitemu rzemieślnikowi dojść do stanu względnej zamożności i ogołacała go ze wszelkich potrzeb kulturalnych.

4. W KRĘGU „MACIERZY"

Nadszedł rok 1905. Jesień tego roku była dla Praszki słupem granicznym, od którego zaczyna się droga do jaśniejszej przyszłości. Pewnego dnia listopadowego młodzież rzemieślnicza urządziła ze sztandarem narodowym pochód, który szybko zamienił się w masową manifestację. Wygłoszone zostały przemówienia na rynku (Obrońca sądowy Krajewski) i na cmentarzu nad mogiłą powstańców (Wincenty Jungowski), a wieczorem wszystkie okna były iluminowane i ze wszystkich stron słychać było śpiewy narodowe.

Po ukazaniu się pochodu mruczeli poważniejsi obywatele miasta, że „teraz trzeba tylko kozaków z nahajkami, bo Polakom znowu się zachciało", ale każda minuta tak budziła mieszkańców z uśpienia, że w krótkim czasie domy opustoszały, a wszyscy wylegli na ulicę. Policji nie było widać, kościół przed manifestantami został zamknięty, a kiedy pochód posuwał się od kościoła w kierunku mogiły powstańców, przejeżdżający z żołnierzami rosyjski rotmistrz straży granicznej (Predteczenskij) zachował się wobec pochodu śpiewającego „Z dymem pożarów" z zupełnym szacunkiem.

Odpowiedzią młodzieży na zachowanie się starszych obywateli było odśpiewanie wieczorem na rynku „O cześć wam panowie" i „Na barykady". Szyld szkoły początkowej z herbem Rosji obrzucono błotem.

Od tego dnia, pomimo szykan policyjnych, na cmentarzu mogiła powstańców 1863 roku była corocznie dekorowana dziesiątkami wieńców i setkami świec.

Wkrótce powstaje Koło Polskiej Macierzy Szkolnej, które zaczęło urządzać popularne odczyty i zorganizowało kursy dla dorosłych analfabetów oraz bibliotekę z czytelnią. Lokal Macierzy stanowiła mała sala specjalnie dla Macierzy nadbudowana w budynku miejskim; w niej odbywały się odczyty, pogadanki, kursy itp., zwykle w niedzielę po południu. Odczyty miały niezłą frekwencję, a szczególnie podobały się dyskusje wśród prelegentów; publiczność w dyskusji głosu nie zabierała.

Prelegentami byli okoliczni ziemianie, duchowieństwo i (podczas wakacji) kształcąca się młodzież. Odczyt przeważnie składał się z tego, że ktoś z tych — jak mówiono — „uczonych" czytał godzinę Sienkiewicza, podręcznik historii Polski albo gazetę, najczęściej „Świąteczną". Oczywiście najbardziej słuchaczy interesowały nowiny. Odpowiednich prelegentów brakowało, ale jakoś radzono sobie.

Pewnego razu podczas czytania nastąpiła godzinna drzemka, lecz słuchacze potem spędzili mile kilka godzin, przysłuchując się sprzeczce prelegentów na temat, czy powszechny potop miał miejsce i w Polsce, albo nawet na całym świecie, czy tylko w Azji!... Księdza wówczas nie było.

Kursy dla dorosłych analfabetów nie miały powodzenia z tego względu, że ludność uboższa nie miała śmiałości do „lepszego" towarzystwa, jakie stanowili członkowie Macierzy Szkolnej, zaś członkom nie wypadało się przyznawać do analfabetyzmu; wszak byli to obywatele miasta (to za właściciele nieruchomości, opłacający podatki bezpośrednie!). Niedługie było życie tej pożytecznej instytucji: Macierz w 1912 r. zostaje nakazem władz rosyjskich zlikwidowana.

Od r. 1905 już nie wystarcza mieszkańcom miasta dotychczasowa szkoła rządowa i powstaje 2-kl. szkoła prywatna; pomimo kilkakrotnych likwidacji szkoła utrzymuje się bez przerwy do r. 1912. W tym roku rosyjska dyrekcja szkolna w Kaliszu na podanie Marii Wróblewskiej o zezwolenie na otwarcie szkoły prywatnej odpowiedziała wyraźnie: „Nie pozwala się z tego powodu, że w Praszce jest dostateczna liczba szkół", chociaż tylko 10 proc. dzieci chodziło do szkoły.

Ludność żydowska również wystarała się u władz rosyjskich o szkołę rządową dla swych dzieci, ale szeroki ogół społeczeństwa żydowskiego szkoły tej nie popierał, uważając ją za zbyteczną, przeciw szkole przemawiały względy religijne. Szkoła ta z trudnością zbierała 30 dzieci, przeważnie dziewcząt, gdyż chłopcy byli zmuszani do zdejmowania w klasie czapek i dlatego nie mieli chęci w takiej szkole się uczyć.

Przez długi czas jedynym towarzystwem, ogarniającym swą działalnością dorosłych, była straż ogniowa. Doszła ona do takiego rozkwitu, że skupiała 140 członków czynnych, posiadała własną orkiestrę, utrzymywała kapelmistrza, urządzała przedstawienia amatorskie, zabawy i tak zręcznie gromadziła fundusze, że stała się instytucją zamożniejszą niż samorząd miasteczka. Dała inicjatywę i środki na kupno nieruchomości dla swoich potrzeb i placu pod budowę gmachu szkolnego. Naczelnikami wybitniejszymi w straży byli: Dobraczyński, Aleks. Łucki, Dr Wagner, Fr. Dybek.

Na kilka lat przed wojną światową powstaje koło rolnicze. W kółku rolniczym największe zainteresowanie budziło praktyczne nau-

czanie sądownictwa. Członkami byli nie tylko mieszkańcy miasteczka, ale i sąsiednich wiosek, a to dzięki wpływom tutejszego duchowieństwa katolickiego. Kultura rolna w Praszce i okolicy podniosła się szybko. Rolnicy korzystali z porad kółka rolniczego i sprowadzali ulepszone nasiona, a z Niemiec narzędzia rolnicze i nawozy sztuczne; nawet małorolni mogli się zdobyć na takie wydatki, gdyż zarabiali nieźle na robotach sezonowych w Niemczech.

Krótkotrwałe było istnienie kółka rolniczego, wyjazd najczynniejszych członków sprowadził za sobą upadek tej instytucji. Ale praca nie poszła na marne: do pierwotnej uprawy ziemi już nie wrócono, nawet niektórzy na własną rękę zaprenumerowali czasopisma rolnicze i posuwali się dalej w podnoszeniu kultury rolnej. Miejscowi kupcy razem z kaliskim towarzystwem rolniczym sprzedawali okolicznym rolnikom nawozów sztucznych i maszyn rolniczych za 300 tysięcy rubli (= 1.350.000 zł.) rocznie.

Duże znaczenie w rozwoju rolnictwa miało wychodźstwo na roboty sezonowe letnie do Niemiec, a nawet do Danii i Holandii tak drobnych rolników jak i robotników rolnych z Praszki i okolicy. Szybko drobny rolnik przekonywał się, że wyjeżdżając za granicę zaniedbuje własne gospodarstwo, pozostawione opiece żony lub starych rodziców, że niemiecki drobny rolnik inaczej gospodaruje i dlatego emigrant sezonowy wsparty pewnymi oszczędnościami, często zabierał się do pracy na własnym zagonie. Mieszczanie jednak unikali w Niemczech pracy na roli, poszukując raczej większych zarobków fabrycznych, lecz okoliczni włościanie trzymali się tam zwykle rolnictwa; do tego zresztą tylko mieli Polacy prawo w myśl postanowień konwencji niemiecko-rosyjskiej.

W r. 1913 zostaje założone przez proboszcza towarzystwo abstynenckie „Przyszłość“. Członkowie mieli rozszerzać ideę trzeźwości drogą odpowiednich pokazów i pogadanek, a przede wszystkim przez własny przykład, tj. wystrzeganie się napojów alkoholowych. Alkoholizm miał tak silne podstawy w Praszce, że jednanie członków dla „Przyszłości“ szło bardzo opornie. Towarzystwo o tyle spełniało swoją rolę, że skupiło w swych szeregach dużo kobiet, a te na terenie rodziny aktywniej zwalczały alkoholizm.

Z inicjatywy tego towarzystwa założono spółdzielczy sklep bławatny p. n. „Nasz sklep“ (zlikwidowany podczas dewaluacji marki polskiej) oraz wysłano jedną panienkę do Warszawy na naukę czapnictwa. T-wo „Przyszłość“ przestało istnieć w roku 1917, skoro zabrakło osób, które z jego pomocą pragnęły oddziaływać na ogół lub jego część.

Czytelnictwo znacznie rozwinęło się wśród dzieci i młodzieży, w bardzo zaś małym stopniu objęło dorosłych, co jest zresztą zrozumiałe, jeżeli zważymy, że dorośli albo wcale nie umieli czytać, albo czytali tak słabo, że zrozumienie treści sprawiłoby im poważne trudności; wielkim postępem było to, że rodzice pozwalali młodzieży czytać książki, a niekiedy nawet interesowali się treścią. Wśród czytelników był znaczny procent ludności wiejskiej — również przeważnie młodzieży.

Stowarzyszenia, których własnością była biblioteka, znajdowały się pod przemożnym wpływem duchowieństwa, co wywarło silny wpływ na dobór książek, zwłaszcza dla dorastającej młodzieży i dla dorosłych. Żeromski był w Praszce nieznany, nawet poczciwy Kraszewski zamazany w wielu miejscach tuszem. Z powodu czysto katolickiej marki biblioteki ludność żydowska nie mogła z niej korzystać.

Do rozwoju czytelnictwa przyczyniły się też dwie księgarnie, które urządziły wypożyczalnie książek dla wszystkich bez różnicy wyznań i narodowości.

5. TEATR MIASTECZKOWY

Poważnym środkiem wychowawczym, oddziaływującym na szersze masy ludności, były przedstawienia amatorskie. Praszka nie ma wprawdzie odpowiedniego gmachu teatralnego, ale w razie potrzeby, zwłaszcza w porze letniej, z powodzeniem urządzano przedstawienia w remizie strażackiej. Grywano przeważnie komedie obyczajowe, a im więcej było w nich humoru, tym większym cieszyły się powodzeniem.

Od 1904 r. własnością miasta stała się posesja zwana „Huetowizną“ przy ulicy Szkolnej (dawniej Rozterskiej), na której znajdowała się murowana szopa, kryta dachówką, służąca byłemu właścicielowi na pomieszczenie garbarni. Posesją zarządzała straż ogniowa, za której fundusze posesja została nabyta na rzecz miasta. W szopie straż urządziła sobie remizę. Ponieważ przedstawienia amatorskie dawniej trzeba było urządzać w śpichlerzach dworskich, zajęto się przystosowaniem remizy strażackiej do potrzeb teatralnych.

Zbudowano stałą scenę z kulisami i budką dla suflera, galerię („balkon z lożami“), estradę dla orkiestry i dobudowano drewniany pokój przejściowy na kasę biletową i bufet, urządzając w ten sposób teatrzyk mający 150 miejsc siedzących i 220 stojących. Nie było twardej podłogi, pieców, szatni, dach przeciekał, a na każde przedstawienie trzeba było opróżnić salę z narzędzi strażackich, wnosić i ustawiać na piasku ławki oraz pożyczane dla 2-ch pierwszych rzędów krzesełka. Jedynie kurtyna malowana około 1890 r. przez malarza Respondka, ucznia Matejki, z napisem „Ridendo castigantur mores“, nadawała sali wygląd podobny do teatru. Na kurtynie namalowana była kobieta z płonącą żagwią w ręce i stojąca na książkach. Kobieta owa wyobrażała sztukę, która niesie narodowi światło.

Podczas zaboru rosyjskiego wystawiono następujące sztuki:

Surdut i siermięga — Gutowskiego,
Żywy nieboszczyk — Bolly,
Kajcio — Dobrzańskiego,
Onufry — Dobrzańskiego,
Kalosze — Fredry,
Qui pro quo — Korzeniowskiego,
Stryj przyjechał — Koziebrodzkiego,
Nieboszczyk z przypadku — Starkmana,
Błażek opętany — Anczyca,
Flisacy — Anczyca,
Łobzowianie — Anczyca,
Wigilia Św. Andrzeja — Domnika,
Aby handel szedł — Galasiewicza,
Werbel domowy — Gregorowicza,
Majster i czeladnik — Korzeniowskiego,
Okrężne — Korzeniowskiego,
Chrapanie z rozkazu — Gutowskiego,
Bursztyny — Kasz-Haliny,
Ulica nad Wisłą — Kucz,
Nad Wisłą — Wieniawskiego,
Bartos spod Krakowa — Dębickiego,
Żyd w beczce — Żółtowskiego,
Janek spod Ojcowa — Gregorowicza,
Wiesław — Brodzińskiego,
Pacjent z prowincji — Timmory,
Mizantrop — Moliera,
Pacjent Nr 1 — Starkmana,
Precz z mężczyznami — Piątkowskiej,
Próba miłości — Piątkowskiej,
Chłopi arystokraci — Anczyca.

Około roku 1900 reżyserował miejscowy kontroler rosyjskiego urzędu celnego Dobraczyński, b. aktor opery warszawskiej. Następnie reżyserem był Prohaska, opłacany przez straż ogniową instruktor. Sztuki grane od 1903 r. były zazwyczaj reżyserowane przez właściciela miejscowej polskiej księgarni, wieloletniego działacza społecznego — Wincentego Jungowskiego.

Szkolna młodzież nie mogła dostąpić jeszcze tego zaszczytu, by grywać na deskach „teatru“, musiała więc kontentować się występami w sali parafialnej.

6. ELITA I PLEBS PRASZKI

Dla ścisłości należy stwierdzić, że czynne na terenie Praszki instytucje kulturalno-oświatowe nie umiały, czy też nie usiłowały rozszerzyć swoich wpływów na znaczną część ludności: półstali mieszkańcy Praszki, tzw. „zaksiarze“ (15 proc. ludności chrześcijańskiej), przebywający w lecie na robotach sezonowych w Niemczech, stanowili zamkniętą w sobie kastę; tzw. obywatele patrzyli na nich z góry i uważaliby za ujmę dla siebie, gdyby mieli współpracować z nimi w jakiejkolwiek formie.

Jeżeli wychodźca był drobnym rolnikiem lub rzemieślnikiem, to w porze zimowej oddawał się pracy. Sytuacja tej kategorii wychodźców była o tyle pomyślna, że mogli oni i ich dzieci przebywać w towarzystwie swych współobywateli — stojących nieraz niżej pod względem materialnym, ale wyżej postawionych w hierarchii społecznej i towarzyskiej. Natomiast liczni robotnicy bezrolni, trawiący czas na próżnowaniu, żyli poza nawiasem miejscowego społeczeństwa. Przesiadywali najczęściej w karczmach, gawędzili o ciekawszych zdarzeniach z ubiegłego sezonu, spoglądali na niebo i badali, czy słonko już wysoko i czy daleko jeszcze do rozpoczęcia „ciągu“ do niemieckiego „raju“...

Zdarzało się, że robotnik pracował w Niemczech od świtu do nocy i źle się odżywiał, aby na zimę przyjechać do Polski, wystrojony z pruska, z gramofonem i rozmaitymi wytworami pruskiej tandety, stracić pieniądze i znów wracać do Niemiec za sprzedany gramofon. Naturalnie, częste były wypadki, że za uciułane pieniądze, zdobyte w pocie czoła, wychodźca kupował sobie szmat ziemi ojczystej i budował lub kupował dom.

W ruchu kulturalno-oświatowym społeczeństwo żydowskie zostało nieco na uboczu. Wprawdzie i Żydzi chętniej czytali książki, urządzali nawet przedstawienia w języku polskim, ale jednak nie mieli działaczów społecznych o większym zmyśle organizacyjnym i wskutek tego ich życie nie ulegało poważniejszej zmianie. Na usprawiedliwienie społeczeństwa żydowskiego możemy powiedzieć, że niektóre czynności, wykonywane przez instytucje chrześcijańskie należały do sfery działania żydowskiej gminy wyznaniowej. Należy jednak stwierdzić, że ludność żydowska w stosunkowo krótkim czasie wytworzyła inteligencję, bodaj wybitniejszą od inteligencji polskiej; że masy żydowskie pozostały szarym tłumem, należy to przypisać temu, że dwa obozy żydowskie nie mogły znaleźć wspólnego języka, gdyż inteligencja żydowska używała tylko języka polskiego.

Tam, gdzie nie stały na przeszkodzie względy wyznaniowe, inteligencja żydowska współpracowała z polskim ruchem kulturalno-oświatowym.

Duże znaczenie dla podniesienia myśli polskiej w miasteczku wywołał przyjazd ks. Zdzitowieckiego — biskupa objeżdżającego diecezję kujawsko-kaliską. Powitania, śpiewy, a szczególnie zetknięcie się alumnów z młodzieżą — wszystko to miało charakter narodowo-uświadamiający i manifestacyjny. I ludność żydowska z rabinem na czele brała udział w przyjęciu przy własnej bramie triumfalnej. Oczywiście wciągnięto do tej uroczystości i okoliczną ludność wiejską, która utworzyła piękną banderię. W ciągu lat wielu potem młodzież śpiewała piosenki, których nauczyła się od alumnów.

Zamożniejsi lub bardziej uświadomieni mieszkańcy wysyłali swoich synów do szkół średnich, przeważnie w Wieluniu, Kaliszu i Częstochowie. Do r. 1914 przeszło przez różne szkoły średnie, handlowe i ogólnokształcące 16 praszczan, a przez uczelnie wyższe 5; w liczbie tej nie są umieszczeni ci, których ojcowie jako urzędnicy rosyjscy nie byli osiedleni w Praszce na stałe.

Ignacy Kowalczyk

A. Woźniesieński

Szkoła radziecka i jej zadania *)

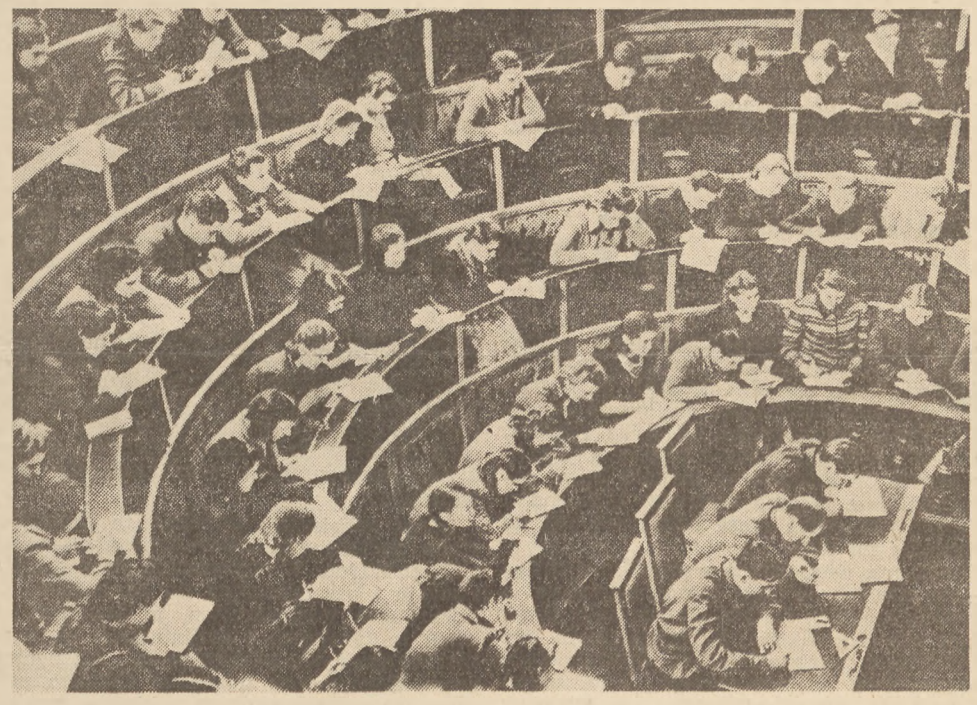

Uniwersytet Moskiewski

W społeczeństwie kapitalistycznym burżuazja wykorzystuje szkołę jako narzędzie ucisku mas pracujących. Charakteryzując szkołę burżuazyjną Lenin w 1918 roku w mowie na II Wszechrosyjskim Zjeździe Nauczycieli - Internacjonalistów mówił: „Jednym z takich fałszów burżuazyjnych jest przekonanie, że szkoła może egzystować poza życiem społecznym. Wiecie dobrze, jak załganym jest to przekonanie. Burżuazja wysuwająca taki układ (stosunków szkolnych), sama na czoło problemu szkoły stawiała swoją burżuazyjną politykę, starała się problem szkoły sprowadzić do tego, żeby wytresować pokornych i roztropnych służących, starała się szkołę od dołu do góry, a nawet nauczanie ogólnokształcące sprowadzić do tego, żeby wytresować burżuazji pokornych i przemyślnych służących, wykonawców woli i niewolników kapitału...“ (Dzieła zebr. t. 23, str. 474-475). W społeczeństwie socjalistycznym szkoła nie służy interesom klas eksploatatorskich, ale masom pracującym.

Nauczycielstwo radzieckie kieruje się w całej swojej działalności najbardziej postępową polityką świata — polityką komunistycznej partii i państwa radzieckiego.

Szkoła wychowuje młodych obywateli wielkiego państwa radzieckiego, uzbraja ich w wiedzę zasad naukowych, kształtuje ich naukowy, materialistyczny pogląd na świat, wychowuje ich w duchu polityki państwa radzieckiego, w duchu bezgranicznego oddania sprawie Lenina - Stalina, w duchu żywotnego patriotyzmu, przygotowuje swoich wychowanków do wstąpienia w życie jako ludzi wysoko wykształconych, kulturalnych, niezachwianych i oddanych bojowników o komunizm. Wszczepia ona swoim wychowankom najlepsze cechy człowieka stalinowskiej epoki — wysoką ideowość i głębokie przekonanie o słuszności naszej sprawy, optymizm i energię do pokonywania trudności. W tym tkwi wielkie, postępowe znaczenie naszej szkoły. To właśnie charakteryzuje ją jako szkołę wyższego, nowego typu.

Wysokie zadania stojące przed szkołą radziecką określają zawartość, organizację i metody jej pracy. Potężnym jest rozmach oświaty ludowej w naszym kraju. W Związku Radzieckim istnieje około 200 tys. szkół ogólnokształcących, w których uczy się 33,2 mil. uczniów i wykłada 1 mil. 250 tys. nauczycieli. U nas całkowicie zrealizowano powszechne, obowiązkowe nauczanie początkowe i dokonywuje się realizacja powszechnego siedmioletniego nauczania. Wielka liczba dzieci po ukończeniu siedmioletniej szkoły kontynuuje naukę w szkole średniej. Co roku do szkół średnich ogólnokształcących i specjalnych zakładów naukowych wstępuje powyżej 50 proc. wszystkich uczących się, kończących szkołę siedmioletnią. W 800 wyższych zakładach naukowych Związku Radzieckiego uczy się milion studentów (w tej liczbie 270 tys. studentów kursów korespondencyjnych). Liczba studentów uczących się w radzieckich wyższych zakładach naukowych jest większa aniżeli we wszystkich krajach Europy razem wziętych. Rok rocznie ponad 100 tys. młodych specjalistów kończy nasze uczelnie.

Już te kilka cyfr świadczy o rozmachu szkolnictwa powszechnego w naszym kraju, o ogromnych osiągnięciach państwa radzieckiego na terenie oświaty ludowej.

Pierwszym i głównym zadaniem szkoły radzieckiej i nauczyciela jest zabezpieczenie, uzyskanie wysokiego naukowo-teoretycznego poziomu wykładania. Oznacza to przede wszystkim, że każdy nauczyciel powinien swój przedmiot wyjaśniać na podstawie metodologii dialektyki materialistycznej w jej specyficznej modyfikacji do danej nauki, bowiem tylko taki wykład będzie istotnie naukowy. Oznacza to po drugie, że nauczyciel powinien prowadzić wykład zgodnie ze ścisłymi danymi nauki i przy tym na poziomie nauki współczesnej, z uwzględnieniem jej ostatnich osiągnięć. Nie oznacza to bynajmniej zbytecznego obciążania uczących się. Oznacza to tylko, że wiedza, którą daje szkoła radziecka uczniom, nie powinna stanowić wczorajszego słowa nauki, nie powinna być wadliwa w swoim ideologicznym i metodologicznym aspekcie.

Postulat przyzwyczajania uczniów do materialistycznego myślenia nie oznacza bynajmniej konieczności wykładania całej złożonej filozofii materializmu dialektycznego. Znaczy to, że nauczyciel zaznajamiający uczniów z życiem przyrody i społeczeństwa prowadzi ich do zrozumienia prawidłowości jego rozwoju, uczy stwierdzać związki przyczynowo-skutkowe, uczy rozumienia związków wzajemnych i determinant zjawisk autonomicznych. W ten sposób na lekcjach biologii uzbraja ich w materialistyczne pojmowanie świata, jego przekształceń, jedności organizmu i koniecznych do życia warunków, roli człowieka aktywnie wpływającego na przyrodę i zmieniającego ją wedle swoich potrzeb. Na lekcjach historii nauczyciel prowadzi swoich uczniów do pojmowania prawidłowości życia społecznego, roli walki klasowej w historii społeczeństw, roli mas ludowych i jednostki w historii itd.

Konkretny materiał każdej naukowej dyscypliny powinien służyć za zasadę dla teoretycznych wywodów i uogólnień.

Drugim zasadniczym zadaniem szkoły, ściśle związanym z zadaniem podniesienia naukowo-teoretycznego poziomu wykładania, jest zapewnienie wychowania ideowo-politycznego na wysokim poziomie. Nierozłączny związek tych dwu zasadniczych zadań naukowo-wychowawczej pracy szkoły przejawia się w tym, że wychowanie ideowo-polityczne realizuje się przede wszystkim w procesie zaznajamiania się z przedmiotami wykładanymi, w procesie opanowania konkretnej wiedzy zasad naukowych.

Jaką treść wkładamy w pojęcie „ideowo-politycznego wychowania uczniów“?

Najważniejszą stroną wychowania ideowo-politycznego jest uzbrojenie ich w zasady marksistowsko - leninowskiego poglądu na świat. Każdy nauczyciel na materiale swojego przedmiotu powinien dawać uczniom naukowo - materialistyczne zasady praw rozwoju przyrody i społeczeństwa.

Nauczyciel powinien prowadzić walkę bezkompromisową z każdą formą przejawu uległości przed kulturą burżuazyjną. Uczniowie powinni rozumieć, że uczucie patriotyzmu radzieckiego nie jest zgodne z żadnymi przejawami nacjonalizmu lub szowinizmu. Ideowo-polityczne wychowanie oznacza również bezkompromisową walkę z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi, które nieraz jeszcze przenikają w środowisko uczniów. Konkrenym przejawem takich przeżytków bywa: antyspołeczne ustosunkowanie się do własności socjalistycznej, egoizm, mieszczaństwo, przeciwstawienie osobistych interesów interesom społecznym, różnorodne zabobony, przesądy religijne itd.

Należy surowo regulować przebieg wszystkich zebrań i posiedzeń z uczniami, w żadnym razie nie należy dopuszczać, by uczniowie w czasie nauki byli odrywani do wypełniania zadań społecznych lub wzywani na różne zebrania i narady.

Jedną z istotnych stron wychowania komunistycznego młodzieży jest wykształcenie świadomej dyscypliny. Bez surowej świadomej dyscypliny nie może istnieć nauka efektywna. Wykształcenie dyscypliny stanowi jeden z najpoważniejszych momentów w kształtowaniu osobowości młodego obywatela społeczeństwa socjalistycznego, aktywnego, nieugiętego i świadomego bojownika o komunizm.

Organizacje komsomolskie na terenie szkoły powinny pomagać w szybkim opanowaniu zasad naukowych, wyrobieniu w uczniach świadomego stosunku do swoich obowiązków, umiejętności samodzielnej pracy, miłości do wiedzy, dążności do pogłębiania i rozszerzania jej. Powinny dalej pomagać ciału pedagogicznemu walczyć stanowczo z przejawami niezdyscyplinowania i antyspołecznymi postępkami uczniów.

Tłum. **K. Kawecki**

*) Fragmenty artykułu.

Wiesław Jażdżyński

Jeszcze jeden przodownik

Gminna wieś Końskowola w powiecie puławskim miała przed wojną 2 biblioteki liczące 4.000 tomów. Koniaków w Cieszyńskiem — księgozbiór o 2.000 tomów. Podobnie Maniewo w Poznańskiem. Podczas ostatniej wojny i okupacji wszystkie te księgozbiory zostały zupełnie zniszczone. Jeszcze w 1947 roku żadna z wymienionych wsi gminnych nie posiadała biblioteki. Czy wypadki te charakteryzują ogólną sytuację? Niewątpliwie — tak. Wiadomo przecież, że ofiarą niemieckiego „Kulturkampfu“ padło około 8.000.000 tomów polskich książek w latach 1939 — 1945.

W pracy zbiorowej — „Badanie czytelnictwa“, wydanej przez Instytut Kulturalno-oświatowy „Czytelnika“ pisze o pewnej wsi St. Koźniewski, że jej mieszkańcy „od wojny do lutego br. (1947) — data przyjazdu 50 książek „Czytelnika“ — nic nie czytali“.

Pod pewnym względem sytuacja uległa znacznej poprawie. Przyjrzyjmy się faktom.

W grudniu 1947 roku województwo kieleckie ukończyło z własnej inicjatywy — organizację pełnej sieci bibliotek gminnych. W styczniu bieżącego roku oddano czytelnikowi chłopskiemu — 1.600 bibliotek gminnych i 20.000 punktów bibliotecznych. Znaczy to, że w zasięgu wiejskiego odbiorcy znalazło się 1.250.000 nowych, najbardziej wartościowych książek, obliczonych na rozmaite gusty i potrzeby czytelnicze. Ta wielka, niewątpliwie pierwsza w dziejach wsi akcja kulturalna musi być jednak wypełniona do końca. Inaczej nie spełni całkowicie zadania upowszechnienia książki na wsi. Nie można przecież sądzić, że stan czytelnictwa na wsi pozostaje w stosunku prostym do ilości książek dostępnych ludności naszych wsi. Byłoby to grube nieporozumienie. Można bowiem wymienić wiele przykładów wskazujących, iż nie wszędzie tam, gdzie istnieje zasobna biblioteka, mamy równocześnie do czynienia z powszechnym czytelnictwem.

Jeżeli prawdziwe jest popularne powiedzenie, że przed wojną a nawet i w pierwszych powojennych latach zapomnieli chłopi i odzwyczaili się od czytania, to można im potrzebę czytania przypomnieć, można ich do czytania przyzwyczaić. Któż mógłby to zrobić?

Tysiące otwartych bibliotek oznacza równocześnie, że jest w Polsce do natychmiastowego objęcia **nowa funkcja przodownicza — funkcja bibliotekarza na szczeblu gminnym.** Właśnie ten nowy, nieznany dotąd w społeczno-kulturalnym życiu wsi **przodownik** mógłby oddziaływać wychowawczo na chłopskiego odbiorcę książki, wiązać poprzez książkę jego pracę z kulturalnymi, gospodarczymi i politycznymi zadaniami naszego państwa ludowego.

Problem masowego szkolenia bibliotekarzy, zdolnych wykorzystać potężną już dziś sieć instytucji bibliotecznych do akcji upowszechnienia kultury — wysunął się na czoło naszej polityki kulturalnej.

Miejsce bibliotecznego urzędnika obsługującego mechanicznie czytelników zamawiających książki powinien jak najszybciej zająć ideologiczny bibliotekarz. Miejsce „urzędnika“ musi zająć działacz społeczny—organizujący i badający stan czytelnictwa. Problem jeszcze nie rozwiązany. Bo przecież nie rozwiązywały go 6-dniowe kursy dla kierowników gminnych bibliotek ani 3-dniowe konferencje dla 18.000 prowadzących punkty biblioteczne. Problem mają rozwiązać zorganizowane na niższym, średnim i wyższym poziomie szkoły dla pracowników bibliotecznych. W tym zakresie stawiamy dopiero pierwsze kroki. Krakowskie Liceum Bibliotekarsko - Księgarskie i 3-letnie Kursy Księgarskie przy Związku Księgarzy Polskich stanowią całe nasze nauczanie w tym zakresie. Jest to w stosunku do potrzeb — przysłowiowa kropla w morzu. Studia bibliotekoznawcze przy wydziałach humanistycznych na wyższych uczelniach są jeszcze w stadium organizacji.

W pracach nad realizacją nauczania bibliotekarstwa warto wykorzystać bogate pod tym względem doświadczenia Związku Radzieckiego.

Już w roku 1935 pracowały tam 3 Wyższe Uczelnie Bibliotekarskie: Państwowy Instytut Bibliotekoznawczy w Moskwie z filiami w Leningradzie i Charkowie, Państwowy Instytut Pedagogiczny i Leningradzki Komunistyczny Instytut Biblioteczno - oświatowy. Wykształcenie średnie dawało 35 szkół technicznych. Dziś już wszystkie średnie szkoły kulturalno - oświatowe w Związku Radzieckim mają wydziały bibliotekoznawcze.

W zakładach tych kształci się obecnie 8.000 młodzieży. Pięciolatka przewiduje zwiększenie liczby uczniów do 12.000 na wyższym i średnim poziomie. Dochodzi do tej liczby kilkadziesiąt tysięcy wychowanków szkół niższych.

Wychowankowie szkół średnich obejmują kierownictwo regionalnych bibliotek wiejskich i miejskich. Przy bibliotekach istnieją gabinety metodyczne. Jak one pracują? Czytelnik radziecki jest objęty systematyczną akcją badawczą. Posiada specjalną kartę, obliczoną na dłuższy czas, w którą wpisuje, co czytał. Dzięki tej metryce czytelniczej można nie tylko śledzić linię rozwojową radzieckiego odbiorcy książki, ale udzielać mu systematycznie porad. W Związku Radzieckim nie potrzeba zachęcać ludzi do czytania. Współpraca z czytelnikiem polega przede wszystkim na orientowaniu go w planie czytania. I to zadanie wykonują wyszkoleni bibliotekarze, znający dobrze marksistowsko - leninowską teorię kultury. Materiał zebrany przez terenowe gabinety metodyczne odsyła się do ośrodków naukowo-badawczych, prowadzonych przez wychowanków wyższych szkół bibliotekarskich.

Te same zadania stoją przed naszymi kierownikami bibliotek gminnych. Oczywiście, ze względu na stan naszego czytelnictwa — dochodzą jeszcze inne zadania, związane ponadto ściśle z obecnym etapem naszego społeczno-politycznego rozwoju.

Jeden z naszych bibliotekarzy gminnych pisze: „Mamy do czynienia najczęściej z początkującym czytelnikiem. Dlatego bibliotekarz powinien znać dobrze każdego swojego odbiorcę, bo trzeba mu dać od razu taką książkę, która zachęci go do dalszego czytania“. (Z listu Seweryna Skulskiego do red. „Wsi“).

A jak zgromadzić początkujących czytelników? „W bibliotece powinny odbywać się wieczory głośnego, zespołowego czytania. Trzeba urządzić wieczory dyskusyjne nad książką i autorem. Trzeba robić w bibliotece wystawy książek, mówić jak powstają, jak trudna i odpowiedzialna jest praca pisarska“.

Są to jednak zadania wymagające od bibliotekarzy wiedzy. A wiedzę można otrzymać w szkole, którą musi przejść dziś niemała liczba bibliotekarzy, przekraczająca 20.000 osób. Trzeba w kształceniu zwrócić uwagę na przygotowanie kierowników bibliotek do rozgrywania walki klasowej na odcinku kultury. **Eliminowane z życia politycznego i gospodarczego wsi wrogie elementy klasowe walczą zaciekle przy pomocy książki.** Równolegle wszak do montowania sieci bibliotek gminnych montuje się sieć bibliotek parafialnych. Pamiętnikom chłopskim, czy robotniczym przeciwstawia się Żywoty Świętych, Deczyńskiemu — szlacheckich Rzędzianów z „Trylogii“, Waryńskiemu — brata Alberta. Zrozumienie funkcji książki w kształtowaniu świadomości klasowej czytelnika chłopskiego ma olbrzymie znaczenie dla pomyślnego rozegrania walki klasowej na odcinku kultury. I trzeba ją wygrać przy pomocy nowego przodownika - bibliotekarza gminnego. Ustalenie nowej tradycji czytelniczej, opartej o nowe książki będzie miało niemniejsze znaczenie niż... usunięcie bogaczy wiejskich z gromadzkich i gminnych władz ZSCh.

Czas już najwyższy, aby obok agronoma gminnego, aktywisty partyjnego, przodownika świetlicowego, stanął do walki klasowej bibliotekarz.

Jest jeszcze jedno ważne zagadnienie związane z akcją czytelnictwa na wsi. Chodzi mianowicie o to, aby chłopi kupowali dobre książki, tworzyli własne księgozbiory. Na tym odcinku sytuacja przedstawia się źle. Do niedawna sądzono powszechnie, iż zbyt wysokie ceny książek odstraszają chłopów od ich nabywania. Wiadomo, że z końcem stycznia przeprowadzono na terenie województwa łódzkiego akcję werbowania nabywców na książki KUK.

Książki KUK są przecież tanie (100 zł za tom), a jednak na blisko 2 miliony mieszkańców woj. łódzkiego zakupiło książki zaledwie 752 osób, w tym 2 proc. chłopów i 7 proc. robotników. Gdzie szukać wyjścia? Niedostateczna sieć księgarni? Napewno nie. Wiadomo, że w Polsce mamy wystarczającą ilość księgarni, nie tylko w dużych miastach, ale także w małych miasteczkach i osiedlach. Jeżeli powiemy, że księgarnia w małym miasteczku jest w pierwszym rzędzie sklepikiem z papeterią i stalówkami, posiada przeważnie złe książki i samym wyglądem odstrasza — to będziemy znacznie bliżej prawdy. Ale w sedno rzeczy utrafimy mówiąc, że sprzedawca w prywatnej księgarence traktuje książkę jako **towar,** który trzeba jakoś zbyć, że sprawa książki — to sprawa handlu obliczonego na zysk.

Ale obliczać towar na zysk to znaczy podtrzymywać stare, tradycyjne gusta czytelnicze. W praktyce, szczególnie gdy chodzi o prywatne księgarnie w małych miasteczkach, spotykamy się albo z subiektem, który nie umie w ogóle zalecić dobrej książki, albo ze starym rutynowanym księgarzem, który wetknie chłopskiemu czytelnikowi w rękę „Historię żółtej ciżemki“ a „Dalekie i bliskie“ stanowczo odradzi. Tymczasem dla sprawy pomyślnego rozegrania walki klasowej nie jest obojętne, co czyta chłopski odbiorca książki. Bo to nie jest to samo, czy uczymy historii na Trylogii, czy na „Zbiegostwie chłopów w dawnej Polsce“. Bardzo często zależnie od zawartości społecznej czytanej lektury, zajmuje chłop stanowisko w toczącej się walce klasowej. Jasne, że czytelnicy Sienkiewicza pójdą w rezultacie do parafialnej biblioteki po książki, a w praktyce społecznej staną po stronie wiejskiej burżuazji. Czytelnik Kowalskiego, Wasilewskiej, czy Pogana stanie obok gromadzkiego przodownika ZSCh., czy partyjnego aktywisty.

W ludowym państwie przeznacza się obecnie odpowiedzialną rolę księgarniom — rolę **podstawowego czynnika technicznego upowszechnienia kultury.** Księgarz musi wiedzieć, że określona książka, starannie dobrana, dozbraja świadomość społeczną czytelników, przydziela ich do obozu bijącego się w bitwach klasowych o sprawiedliwość społeczną.

Zatem obok kształcenia bibliotekarzy stoi nie mniej ważne zagadnienie odpowiedniego przygotowania księgarzy. Również i w tym zakresie stawiamy dopiero pierwsze kroki. W roku szkolnym 1949/50 będzie otworzona pierwsza szkoła średnia, księgarska szkoła zawodowa w Warszawie.

Nim jednak wyruszą do pracy nasi księgarze przodownicy, ideowi bibliotekarze, należy już dziś wciągać ich w społeczną praktykę walki klasowej na odcinku kultury. Angażować w pracach świetlicowych, w partyjnych i młodzieżowych referatach oświatowych. Praktyka społeczna stanowi zawsze dobrą szkołę.

Ze szczebla gminy zeszli tego roku ławą przodownicy do gromad. Dziś już nie tylko gminy i gromady, ale nawet poszczególne wsie wypracowują plany gospodarcze. Między tych przodowników gospodarczej i politycznej służby powinni wejść nasi bibliotekarze i księgarze. Jest bowiem czas na powstawanie planów czytelniczych w gminach, gromadach i wsiach. Właśnie te plany, tworzone w dyskusjach, poprzez staranną analizę społecznych potrzeb wsi w zakresie kultury, spełnią tę samą rolę w walce klasowej, co plan pomocy drobno- i średnioroinym chłopom, opracowany przez gromadzkie koło Związku Samopomocy Chłopskiej.

Krzysztof Sławiński

Nad „Chłopską Drogą“

Pismo partii robotniczej — w typie „Chłopskiej Drogi“ — przeznaczone na teren chłopski, spełnia tu i musi spełniać inną rolę, niż pismo robotnicze przeznaczone na teren robotniczy. Już chociażby z tego względu, że przemawia do chłopów w imieniu klasy robotniczej. Jest niejako wyrazem tych zadań historycznych, jakie klasa robotnicza ma do wykonania na wsi.

Chodzi mu więc przede wszystkim o zacieśnienie sojuszu między klasą robotniczą a ludnością wiejską. Oczywiście nie całą, oczywiście nie z kułakiem, który nie może być sojusznikiem proletariatu w budownictwie społeczeństwa socjalistycznego. Naturalnym sojusznikiem klasy robotniczej na wsi jest ubogi i średniorolny chłop. I o współpracę z tymi klasami chłopskimi chodzi przede wszystkim klasie robotniczej. Gdyż, jak pisze Stalin, „proletariat nie może utrzymać władzy bez sympatii, bez poparcia ze strony warstw średnich, przede wszystkim zaś chłopstwa.. Proletariat nie może nawet marzyć o wzięciu władzy, jeżeli warstwy te nie są przynajmniej zneutralizowane, jeśli warstwy te nie zdążyły się jeszcze oderwać od klasy kapitalistów, jeśli w masie swej stanowią jeszcze ciągle armię kapitału“.

Stalin dowodzi dalej, że „rewolucja r. 1848 we Francji poniosła klęskę między innymi dlatego, że nie znalazła oddźwięku sympatii wśród francuskiego chłopstwa. Komuna Paryska upadła między innymi dlatego, że natknęła się na przeciwdziałanie warstw średnich, przede wszystkim chłopstwa. To samo należy powiedzieć o rewolucji z roku 1905.“

W innym znów miejscu Stalin stwierdza, że „istota hasła Lenina tkwi w tym, że nadzwyczaj trafnie ujmuje ono **trójjedyne** zadanie pracy partyjnej, zawarte w jednej zwięzłej formule: a) **Oprzyj** się na biedocie, b) zawieraj **porozumienie** ze średniakiem, c) ani na chwilę nie przerywaj **walki** z kułakiem. Spróbujcie tylko wyjąć z tej formuły jedną jej część jako podstawową dla pracy na wsi w danej chwili, zapominając o pozostałych jej częściach — a niezawodnie znajdziecie się w ślepym zaułku“.

Tak więc sojusz klasy robotniczej z ubogim i średniorolnym chłopem musi mieć charakter antyburżuazyjny (antykułacki) i antykapitalistyczny. To jest cel ogólny, niejako zasadniczy. Jakie są zaś jego zadania szczegółowe? To — po pierwsze — wykazanie historycznej roli klasy robotniczej, jako najkonsekwentniejszego bojownika przeciwko kapitalizmowi, a tym samym obrońcy interesów szerokich mas pracujących ludności wiejskiej, którą kapitalizm pauperyzuje, wtrąca w głód, nędzę i zacofanie społeczne.

To — dalej oznacza konieczność mobilizowania pracujących chłopów do walki przeciwko bogaczom wiejskim, spekulantom, wyzyskiwaczom, którzy reprezentują na wsi kapitał eksploatatorski. To — z kolei — oznacza konieczność wzmocnienia świadomości klasowej ubogiego i średniorolnego chłopa. Oznacza to — w końcu — konieczność wykazania chłopom nowych dróg rozwojowych gospodarki rolnej, podniesienia stanu ekonomicznego i kulturalnego wsi, mobilizacji do wielkich zadań przeobrażeń społecznych, gospodarczych i kulturalnych życia wiejskiego.

Klasa robotnicza wypełnia to skomplikowane zadanie w sposób wielostronny — w teorii i praktyce. W wytyczaniu dróg i metod rozwoju gospodarczego do socjalizmu, w planowaniu gospodarczym, w szerokich akcjach kulturalnych i oświatowych — a nawet w prostym, praktycznym codziennym życiu. Czyż pomoc udzielana chłopom przez załogi robotnicze różnych zakładów przemysłowych nie jest prostym i praktycznym przykładem współpracy i sojuszu robotniczo-chłopskiego na polu ekonomicznym? Czyż współpraca świetlic robotniczych i chłopskich nie jest dowodem tego rodzaju prostej i bezpośredniej współpracy na płaszczyźnie kulturalnej?

Jak wypełnia zadania sojuszu robotniczo-chłopskiego prasa partii robotniczej i przeznaczonej na teren wiejski. Przypatrzmy się „Chłopskiej drodze“. Pismo przez swą różnorodną zawartość — polityczną, społeczną, gospodarczą, fachową, kulturalną — porusza te wszystkie zagadnienia, które interesują czytelnika wiejskiego. Artykuł o ulepszonych metodach hodowli bydła czy uprawy zbóż, albo leczenia chorób zwierzęcych — dotyka spraw najbardziej życiowych, stanowi jakby doradcę w codziennej pracy. Artykuł o zagadnieniach społeczno-gospodarczych ogólnych, jak np. o reformie podatkowej, akcji hodowlanej, akcji oszczędnościowej — informuje chłopa z jednej strony o posunięciach rządu, ale równocześnie wskazuje chłopom sposoby wypełniania postawionego przez rząd zadania. Posiada więc charakter mobilizujący. Korespondencja terenowa — z kolei — porusza różnorodne, drobne ale istotne problemy życia gromadzkiego. Jest więc z jednej strony wyrazem powiązania pisma z życiem szerokich mas chłopskich. Z drugiej zaś strony służy jako narzędzie zwalczania codziennych bolączek życia wiejskiego. Przeglądy polityczne pokazują zaś czytelnikowi wiejskiemu arenę polityki międzynarodowej. Czy tylko po to, by ją pokazywać — i nic więcej? Informacja polityczna odgrywa tu rolę wyraźnie mobilizującą. Wskazując chłopu szeroki front walki międzynarodowej, zmagania, jakie obóz pokoju i demokracji toczy z obozem imperializmu i wojny — aktywizuje go równocześnie do walki z tymi, którzy starają się zakłócić pokój międzynarodowy, prowadzą politykę wyzysku kolonialnego i uciemiężenia klasowego i narodowego.

Ten krótki i bynajmniej niepełny przegląd treści pozwala już jednak zorientować się w charakterze pisma. Jakie jest jego zadanie? Krótko można by je określić jako mobilizujące. Mobilizacja w najszerszym zakresie — od spraw drobnych do wielkich, od niewielkich bolączek, które chłop może sam zwalczyć — do wielkich zadań, które realizuje wespół i pod kierownictwem klasy robotniczej. Ale to nie jest mobilizacja in abstracto, ani mobilizacja dla samej tylko mobilizacji. Oznacza ona przede wszystkim wciągnięcie chłopa do szerokich zadań, jakie historia i klasa robotnicza stawia przed narodem. Jest to wezwanie do walki o nowe socjalistyczne społeczeństwo i o nowe lepsze jutro. I to jest znamienną cechą pisma — mobilizacja na drodze socjalizmu. Realna, konkretna, praktyczna.

Gdyby ktoś dokonał porównania dzisiejszych pism robotniczych z przedwojennymi pismami burżuazyjnymi — stwierdziłby natychmiast, jak wielkie dzielą je różnice. Zrozumiałby, jaka przepaść leży między ideami burżuazji i klasy robotniczej. Burżuazja i jej prasa nie umiały i nie chciały mobilizować mas chłopskich, nie chciały rozbudzać ich wielkiego potencjału społecznego, który w konsekwencji musiałby przynieść uszczuplenie stanu posiadania i pomniejszenie pozycji społecznej burżuazji. Oznaczałby bowiem wezwanie do reformy rolnej, podniesienie stanu ekonomicznego wsi (a to oznaczało wszak konkurencję dla folwarków obszarniczych), rozbudzenie kulturalne i społeczne chłopa. Czyż nie lepiej było szermować hasłami antysemityzmu albo mocarstwowości, która oznaczała nędzę wsi, miliony jawnych i utajonych bezrobotnych, nędzę i głód, dzielenie zapałek na dziewięć części i ciemnotę?

Klasa robotnicza nie obawia się społecznego uaktywnienia mas chłopskich. Wręcz przeciwnie. Stawia sobie za cel rozbudzenie wsi, pociąga ją za sobą do wielkich zadań przekształceń społecznych. Wpaja w masy chłopskie swój entuzjazm walki i pracy.

Ta wielka rola klasy robotniczej przebija wyraźnie ze szpalt „Chłopskiej drogi“.

Rola awangardy mas ludowych na drodze do socjalizmu.

Jest jeszcze do nabycia pewna ilość roczników „Wsi“

ZA ROK 1947 I 1948
CENA ROCZNIKA W OPRAWIE WYNOSI 1 500 ZŁ.

Zgłoszenia prosimy kierować na adres: Administracja tyg. „Wieś“, Łódź, Piotrkowska 133. Wysyłka za zaliczeniem pocztowym, można także wpłacać na konto PKO: Łódź VII 1080 Redakcja Tyg. „Wieś“ z zaznaczeniem „za rocznik „Wsi“ rok 1947 ew. 1948“.

ADMINISTRACJA TYG. „WIEŚ“

Józef Pogan

PARAFIALNA TRUTKA

W niedzielę kwietniową w pewnej wsi na Górnym Śląsku stowarzyszenie dobroczynności „Caritas“ odegrało sztukę pt. „Żywcem zamurowana“. Wieś duża, ma przeszło pięć tysięcy mieszkańców, podstawową szkołę z jedenastoma nauczycielami, gminę, pocztę, co piąty dom radio dla rozrywki; jest też PZPR, ZMP, Samopomoc Chłopska z trzema sklepami spółdzielczymi i 130 członkami.

Odegrana sztuka przedstawia dwór szlachecki w rodzinie Zabrzewskich w Zabrzu. Rzecz dzieje się w średniowieczu w czasie wypraw wojennych do Ziemi Świętej. Dziedzic Zabrzewski kocha poddanych, opiekuje się nimi jak własnymi dziatkami. Wzdychania czeladzi świadczą dobitnie o „raju“ służby folwarcznej. Dopiero gdy dziedzic Zabrzewski, jako stary wdowiec pojął za żonę młodą Niemkę — zaczyna się „piekło“ rodzinne i folwarczne. Włodarz Szendera, potajemny kochanek dziedziczki, gnębi służbę, zaś jego miłośnica dziedziczka, Niemka, jako podła intrygantka próbuje zgubić swą pasierbicę, Marynię, dla zagarnięcia dla siebie dóbr dworskich. Namawia więc męża do wysłania jej na wychowanie do krewnych we Wrocławiu. Dziedzic godzi się na to i wysyła córkę konno w daleką drogę. Ale rządca za namową dziedziczki daje „Siwkowi“ jakieś „opium“, więc ten „wściekł się“ w lesie i pogalopował z Marynią w „nieznane“. Gdy wieść o tym dochodzi do dziedzica Zabrzewskiego — popada w rozpacz i na powszechny rozkaz ówczesnego papieża wyrusza na wojnę Świętą. Za nim cała służba pragnie wyruszyć na tę wojnę, nawet lokaje, pokojówki... Wszystko chce ciągnąć za „dobrotliwym“ panem, wszystko chce „bronić“ Świętej Ziemi przed „barbarzyńskimi“ Arabami.

Młodzian Jerzy Szlachecki, bawiąc w lesie na polowaniu, odnajduje wycieńczoną i półmartwą Marynię w wilczym dole. Pielęgnuje ją i Najświętszej Panience przyrzeka wybudować kaplicę, gdy mu znalezionego „aniołka“ przywróci do zdrowia. Prośby Szlacheckiego, poparte szczerymi westchnieniami służby folwarcznej istotnie odniosły skutek — Marynia wyzdrowiała. Szlachecki odwozi ją i prosi dziedziczkę o zezwolenie na ślub z Marynią. Niemka przelękła się, odkłada zezwolenie do czasu powrotu Zabrzewskiego i młodym radzi pokutować w samotności. Bo oto z polecenia Niemki rozeszła się we dworze wieść, iż Zabrzewski padł od tureckiego miecza. Wiadomość ta „chwyta ze serce“ włodarza Szenderę i chce się żenić z Niemką. Krok już do sukcesu życiowego, przeszkadza jeszcze tylko spadkobierczyni dóbr — Marynia. Więc ją narkotyzują i zamurowują w podziemnym lochu. Robotnik dworski, murarz, łamie złożoną Niemce przysięgę i o zamurowanej dziewczynie donosi rodzinie Szlacheckich. Karmią ją pokryjomu i utrzymują przy życiu.

Pewni swego zwycięstwa, Szendera i Niemka Zygfryda, biorą ślub. Wtedy to wraca niespodziewanie Zabrzewski z Ziemi Świętej, w pokutniczym stroju, zwołuje starościński sąd i zdrajców odsyła do więzienia w Gliwicach.

Tak wygląda w streszczeniu przebieg 4-aktowej sztuki w 9 odsłonach. Dziedzic Zabrzewski jest „ojcem“ dla służby, która miałaby we dworze „raj“, gdyby nie intrygi podłej Niemki. Służba kocha go i „krew i życie za niego oddaje“. Intrygi Niemki nie mają wcale charakteru narodowego, a tylko wyłącznie rodzinny, o zdobycie dworu. Tak wyszło z postępków Niemki, że gdyby stosunki rodzinne we dworze ułożyły się pomyślnie — gdyby Zabrzewski był piękny i młody i nie było pasierbicy — Niemka stałaby się „oswojoną“ Polką.

Całość sztuki gęsto przeplatana błagalnymi pieśniami do niebios i co najmniej połowa wypełniona wyciąganiem do góry rąk, padaniem na kolana i na twarze, głębokimi westchnieniami i prośbami do niebios. A wszystko za zdrowie i szczęście o „dobrotliwego“ jaśnie pana i jego córki. Skutek tych nazbyt przesadnych i po prostu ośmieszających modlitw okazał się wyśmienity — Opatrzność naprawiła krzywdy dworu, jakie wyrządziła podła Niemka. Nastała ogólna radość z odnowionego „raju“ wśród poddanych.

Rolę grały co „uczeńsze“ we wsi osoby, przeważnie pracownicy biurowi różnych urzędów. Dziedzic Zabrzewski, jego żona Zygfryda i córka Marynia — jak na wiejskie warunki — grały dobrze; ksiądz Paweł i włodarz Szendera — furiacko; młody dziedzic Szlachecki — nieudolnie i z bardzo głupią miną.

Frekwencja była duża: około osiemset osób zapełniło salę, co wynosi jedną szóstą część wszystkich mieszkańców wsi, czyli mniej więcej jedna osoba z każdej rodziny. Wskazuje to na powszechne zamiłowanie tutejszej ludności do rozrywek kulturalnych. — Większość śmiała się z krasnego ubioru aktorów, z charakteryzacji i z weselszych ich pląsów, nie wnikając wcale w istotny sens wystawianej sztuki. Niezadowolonych policzyłby na palcach — to prawda.

Ale czy przypisać to należy nieuświadomieniu społecznemu tutejszej ludności? Atrakcją dla nich jest to, co „kolorowe i wesołe“, a zwłaszcza, gdy „farorz“ temu patronują. Siedział sobie opasły ów „farorz“ na pierwszym miejscu i uśmiechał się z zadowoleniem. Czyżby w naiwności przypuszczał, że taką trutką kulturalną powstrzyma ogólny postęp społeczny w swej parafii? Czyżby nie dostrzegł jeszcze, że i nad tą najbardziej zaciemnianą zewsząd górnośląską wsią powiewa mocny i zdrowy prąd przemian społecznych? Że kadry młodych ludzi skupionych w PZPR i ZMP coraz ostrzej staczają walkę z przestarzałym szlachecko-klerykalnym wstecznictwem? W walce tej nie wiele pomoże kulturalna trutka opasłego „farorza“. To jemu się zdawało, że pokłony, wznoszenie rąk do niebios, dobrzy panowie i wierni kmiecie, że wyprawy krzyżowe i bojaźń boża przemawiają wprost do jego owieczek. Tymczasem ta rupieciarnia rozmaitych wątków i z „Walgierza Udałego“, i „Św. Genowefy“, i „Królowej Śnieżki“ (macocha) budziła zdrowy śmiech, w którym nic **na serio** nie było brane ani ze średniowiecza, ani z „woli opatrzności“.

Na sztukę na serio wziętą ta. jak wiele innych wsi, dopiero czeka. I taką trzeba jej dać. „Uczeńsze“ osoby niech to wezmą pod uwagę. „Caritasowa“ robota, choćby dała na scenie Urbana II, który wzywa na Świętą Wojnę Krzyżową, nie osiągnie więcej nad rozrywkę. Ludzie będą się bawić tym; jak to dobrze, że nie jest już tak, jak było; będą się bawić, jak bajką, a w bajce — papież, rycerze, św. Genowefa...

Czas pójść dalej, od rozrywki: że kolorowo i wesoło (bo bez sensu), do przedstawień urzekających na serio. ZSCh. niech o tym pamięta!

Józef Kapuściński

Młodym lekarzom pod rozwagę

Czytając sprawozdanie Ministerstwa Zdrowia za rok 1948 zatrzymałem się nad pewną pozycją. W roku ubiegłym w sanatoriach leczyło się 17,000 chłopów. Mój Boże, staremu działaczowi ludowemu jest nad czym podumać. Z dzieciństwa pamiętam pokolenie moich dziadków. Choroby i zdrowie to był drugi obok urodzaju i nieurodzaju fundament parafialnego myślenia chłopa o niemocy człowieka, o jego bezsile wobec „praw natury“, co się równało prawom „opatrzności“.

Dziś lekarze powiatowi, wojskowi, z ubezpieczalni, spieszą ludności wsi z pomocą i to najuboższej. Na legitymację lub kartę powiatowego zarządu Z. S. Ch. każdy lekarz udziela porady. Jadą ambulanse Czerwonego Krzyża na wieś z bezpłatną pomocą. Chłopi w tysiącach znaleźli się już w sanatoriach. To się dopiero zaczyna. Hitlerowski okupant wytracił połowę naszego stanu lekarskiego. Nowe uniwersytety szkolą młodych lekarzy. Dekret powołuje ich na wsie.

Staremu działaczowi cisną się na pamięć dzieje chorób na wsi i dzieje praktyk znachorskich, felczerskich, lekarskich i aptekarskich z ubiegłych 40 lat. Wspomnienia, wspomnienia, które pragnę przelać na papier nie dla samego tylko wspomnienia.

Chcę odtworzyć tradycję oceny na wsi medycyny, a bardziej jeszcze lekarzy. Narosła tradycja ujemnej oceny, pełnej żalu i rozgoryczenia.

Tak się cieszę z nowych roczników studentów medycyny i tak bardzo pragnąłbym, żeby oni umieli się cieszyć z tego, że pójdą na wieś. Bo tam wśród wielu milionów dziś wreszcie obywateli państwa, będą mogli zrehabilitować honor lekarza, utracony w praktyce burżuazyjnego okresu medycyny. Naprawiając chłopską krzywdę, dziesiątkami lat narosłą, sami zdobędą moralność społeczną, jakiej brakło ich poprzednikom, zdobędą tytuł do sojuszu z ludem, do godności człowieka, jaką wywalczył proletariat wespół z radykalnym chłopstwem i jaką buduje i utrwala w masach.

Otóż, młodym lekarzom ku pamięci... nie powiem co macie czynić. Powiem, jak było, co czyniono. Sami znajdziecie odpowiedź.

Pamiętam z lat młodych — każda wieś miała swoją znachorkę lub znachora, oraz naprawiacza zwichniętych rąk i nóg. Zdarzali się czasem pod tym względem ludzie z talentem i dobrą intuicją, którzy specjalizowali się w fachu, poznawali własności lecznicze ziół i mogli je z pewnym skutkiem stosować, ale większość tych znachorów to z natury rzeczy nieucy. Choroby nazywali niewłaściwie; np. dyfteryt — chrypką, zapalenie stawów — gośćcem lub postrzałem. Oprócz leków ziołowych leczyli różnego rodzaju zaklęciami, zamawianiem czy też odrzucaniem uroków. Odczyniający uroki brał np. skopiec od podoju krów, nabierał ze studni wodę, koniecznie od strony wschodniej, obchodził dom chorego trzykrotnie dokoła następnie wylewał wodę ze skopca na dach od strony zachodniej, odwracał skopiec do góry dnem: podstawiał pod strzechę, aby złapać ściekające krople wody, i, szepcząc jakieś zaklęcia, niósł choremu do wypicia. Lekarz był zjawiskiem bardzo rzadkim na wsi i pomagał zwykle choremu umrzeć, przybywał bowiem zwykle zapóźno. Bywały też wypadki, że chory nie stosował się do zaleceń wydanych i sam sobie szkodził. Znam wypadek, że chory zamiast pić lekarstwo wedle zaleceń — wypił od razu, bo sądził, że większa ilość prędzej pomoże. Mimo że lekarzy, jak w latach międzywojennych, było w dużych miastach a nawet małych miasteczkach dosyć, o osiedleniu się na wsi nikt z nich nie myślał. W miasteczku liczącym 5 tysięcy mieszkańców, było 5 lekarzy, a we wsi o 2 tysiącach ludności ani jednego. A jaki był stosunek lekarzy do ludzi ze wsi? Na wsi powszechnie mówiono, że doktór z miasta za darmo nawet palcem nie puknie. I tak było. Lekarz w małym miasteczku robił majątek, ale nie leczył chorych. Znane mi są wypadki, że lekarz, który przyszedł tylko z walizką, po kilku latach miał już kamienicę z ogrodem i to nieraz kilkupiętrową. W pewnym miasteczku było czterech lekarzy i wszyscy mieli własne domy, a nawet jeden czy dwóch — duże gospodarstwa. Po miasteczkach przed okresem osiedlenia się lekarzy byli felczerzy i cyrulicy, którzy stawiali bańki, pijawki, robili masarze, czy też składali zwichnięte nogi, wstawiali zęby i golili brody. Najgorzej tu było z pomocą przy porodach. Niejedna matka traciła z winy takiego „cyrulika“ dziecko, a i życie.

Za najdrobniejszą poradę płacono po 2 zł, czyli cenę 2 kg cukru, za normalną 5—10 kg cukru. Za wyjazd na wieś, oddaloną od miasteczka o 5 km końmi gospodarza, pobierano najmniej od 80—150 zł., czyli wartość jednej jałówki lub krowy. Za wyjazd w nocy do porodu płaciło się od 150—250 zł. Zależało od czasu, pogody i pomocy. Była to cena ogromna. Jeśli ktoś miał nieszczęście gościć u siebie lekarzy kilka razy do roku lub w ciągu kilku lat, to sprzedawał kawał pola i bankrutował. Osobno płacono za leki, których cena obliczona była zawsze na wysokie zyski dla różnych firm produkujących lekarstwa i dla sprzedających aptek. Jeśli miasto powiatowe miało nawet i 5—8 lekarzy — apteka była jedna. I znów nowe źródło robienia majątku przez aptekarza. Na pomoc lekarską mógł sobie pozwolić tylko naprawdę bogaty. Wieś widziała lekarza tylko na dworze, na plebanii, u rządcy, nauczyciela, bogatego wójta. Biedny, gdy zachorował, a w chorobie się zaziębił — musiał umierać. Znam wypadki, gdzie w sile wieku umierał ojciec kilkorga dzieci z przeziębienia — nie mógł sobie pozwolić na lekarza. A któż by pomyślał, aby przyjść biedakowi z pomocą. Nikomu się nie śniło, aby wysłać chłopa do sanatorium i to chłopa najbiedniejszego. Nie znam wypadku, aby chłop ze wsi, choćby najbogatszy, leczył się w sanatorium. Sanatoria były tylko dla dziedziców, bogatych kupców, fabrykantów itp. ale nie dla chłopów ze wsi.

Oto garść wspomnień... A Wasza, młodzi medycy, jaka odpowiedź?

Michał Rękas

Wyższe studia korespondencyjne

Pocieszające to zjawisko, że dyskusja o wyższych studiach korespondencyjnych zaczyna się rozwijać na łamach „Wsi“.

Po artykule Barteckiego w 12 numerze „Wsi“ pojawił się artykuł prof. Hilarowicza w nr 15, omawiający tę sprawę na podstawie zdobytych już paroletnich doświadczeń. Pragnę i ja dorzucić swoje „trzy grosze“, a może powoli i „teren“ się rozrusza, bo to byłoby najbardziej istotne i ciekawe. Bezpośrednio zainteresowani są bowiem ci, którzy z tej formy studiów pragnęliby skorzystać nie przerywając swojej pracy zawodowej.

Z końcem ubiegłego roku akademickiego opracowałem szczegółowy plan organizacji studiów korespondencyjnych na Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Łodzi i przedłożyłem go Ministerstwu Oświaty do rozpatrzenia. Jak dotychczas — sprawa pozostała bez odpowiedzi.

W drodze szczegółowej analizy programów studiów na poszczególnych wydziałach, techniki i metody tych studiów, warunków pracy terenowej studentów, którzy korzystaliby z tych studiów, wykazałem, że przedłużając czas studiów o 25—30% można drogą korespondencyjną przestudiować pomyślnie wszystkie wydziały WSGW (rolniczy, ogrodniczy, przemysłu rolnego, spółdzielczy i agronomii społecznej). Odpowiednie przepracowanie wykazałoby niewątpliwie, że wiele wydziałów na innych wyższych uczelniach, a zwłaszcza na uniwersytecie, dałoby się również z dużym powodzeniem tą drogą przestudiować.

Największe trudności — to trudności natury technicznej: organizacja „fabryki“ skryptów (to byłaby istotnie obszerna maszyna), przesyłki skryptów, literatury i szczegółowych wskazówek z zakresu techniki pracy umysłowej i metody studiów korespondencyjnych, organizacja i realizacja okresowych ćwiczeń i seminariów, z czym wiąże się sprawa podziału „korespondentów“ na grupy i sprawa ich zakwaterowania w mieście przy danej uczelni na 4—6 tygodni rocznie, odpowiednia egzekutywa tych studiów, a więc organizacja prac piśmiennych i ich sprawdzania przez wykładowców lub asystentów, organizacja i technika kolokwiów i egzaminów itd.

Rozwiązanie tych trudności może być dwojakie.

Pierwsze — to rozwiązanie w ramach tej uczelni, która prowadzi studia korespondencyjne. Musiałby przy uczelni powstać odpowiednio liczny aparat techniczny, który by te wszystkie sprawy sprawnie obsługiwał. Byłoby wówczas takich „aparatów“ tyle, ile uczelni i czynnych przy nich ośrodków studiów korespondencyjnych.

Drugie rozwiązanie — to stworzenie oddzielnego aparatu technicznego, wspólnego dla wszystkich uczelni wyższych, prowadzących studia korespondencyjne w danym mieście. Tak np. dla Łodzi istnieje już taki „aparat“ w postaci „Korespondencyjnego Gimnazjum“, dawniej „Wici“, a obecnie ZMP. Założyłem to „gimnazjum“ jeszcze w r. 1945, zaczynając z 30 uczestnikami, a dziś liczba tych uczestników przekracza 6 tysięcy rocznie. W oparciu o ten ośrodek, który ma już duże doświadczenie studiów korespondencyjnych na poziomie średnim, można byłoby szybko uruchomić i rozbudować sprawny aparat techniczny, obsługujący wszystkie uczelnie wyższe w Łodzi, które podjęłyby się prowadzenia kursów korespondencyjnych. Sprawa zresztą nadaje się do szczegółowej dyskusji i do uzgodnienia nie tylko z uczelniami, ale i z Min. Oświaty, które ten typ studiów musiałoby prawnie zalegalizować. Toteż nie podaję tu bliższych szczegółów swojego projektu wierząc, że dyskusja będzie się nadal rozwijać i że będzie jeszcze okazja do gruntownego omówienia wielu rzeczy.

Tu pragnę tylko zwrócić uwagę na wyjątkowe korzyści, jakie wiążą się ze sprawą studiów korespondencyjnych. Należy najpierw podkreślić, że studia tego typu miałyby wybitnie demokratyczny charakter, ponieważ stanowiłyby jedną z głównych dróg rozpowszechniania wiedzy na wyższym poziomie wśród szerokich rzesz społecznych. Drugi niezmiernie ważny moment — to powiązanie studiów z wykonywaną pracą zawodową, co odbiłoby się dodatnio zarówno na charakterze studiów jak i na wykonywanej pracy. Wydaje mi się bowiem, że studia te byłyby głównie przeznaczone dla tych wszystkich pracowników w terenie, którzy mają średnie przygotowanie, a warunki życiowe zmuszają ich do wykonywania pracy zawodowej. Mam tu na myśli nie tylko nauczycielstwo szkół podstawowych, lecz pracowników umysłowych wszelkich typów, którzy obraliby sobie kierunek studiów zgodny zarówno z ich zainteresowaniami jak i charakterem wykonywanej pracy zawodowej.

Ważnym jest wreszcie również moment natury ekonomicznej. Można bowiem wykazać przy pomocy szczegółowych obliczeń, że przeciętny koszt studiów przypadających na jednego studenta zmniejsza się ogromnie przy systemie studiów korespondencyjnych, dostarczając naszemu społeczeństwu odpowiedniego kontyngentu pracowników o wysokich kwalifikacjach zawodowych.

Jeszcze raz podkreślam wybitną doniosłość tej dyskusji, jeżeli oczywiście zostanie ona uzupełniona i wzbogacona niezmiernie cennymi głosami „terenu“, a więc głosami tych ludzi, którzy są najbardziej bezpośrednio i żywotnie sprawą tą zainteresowani. Dopiero po przeprowadzeniu wyczerpującej dyskusji można będzie pomyśleć o przystąpieniu do realizowania wyższych studiów korespondencyjnych, narazie przynajmniej na niektórych, mniej ryzykownych odcinkach, czyli łatwiejszych do technicznego ujęcia w ramy sprawnie działającego aparatu. W miarę narastania doświadczeń zakres ten byłby stopniowo rozszerzany, przy czym już i dziś wiele można skorzystać pod tym względem z doświadczeń Związku Radzieckiego, gdzie sieć wyższych studiów korespondencyjnych jest bogato rozwinięta i posiada już wieloletni olbrzymi dorobek.

FAKTY i ZDANIA

Ostrzeżenie

Henry Wallace w swym przemówieniu radiowym, skierowanym do narodu amerykańskiego, stawia pytania, co przyniesie pakt północno-atlantycki społeczeństwu, co przyniesie masom pracującym? Nie ulega wątpliwości, że posiada on charakter militarny, że chce z Ameryki i Europy Zachodniej, zrobić obóz najemny. Czyim kosztem? „Według słów komentatora gazety „New York Times", Hensona Baldvina, nowy program land-lease'u kosztować będzie podatnika amerykańskiego od 3 do 4 miliardów rocznie w ciągu okresu 4—5-letniego. Miliardy te wraz z naszym obecnym programem „zimnej wojny", która kosztuje 21 miliardów, oznaczają, że **nie będziemy budować domów, szpitali i szkół w Ameryce.** Forrestal — mówi Wallace — oświadczył w grudniu ubiegłego roku, że „naród amerykański zmuszony będzie nie tylko **zrezygnować z reform wewnętrznych**, ale jeszcze bardziej zacisnąć pasa i obniżyć poziom życiowy, **żeby uzbroić świat**". Odmówi się pomocy bezrobotnym, zredukuje się budownictwo tanich domów, ograniczy się wydatki na oświatę, na opiekę lekarską — wszystko po to, aby otoczyć armiami kraj, który, zdaniem wszystkich odpowiedzialnych mężów stanu, nie może rozpocząć i nie rozpocznie agresji wojskowej poza swoimi granicami. Bilans kształtuje się zupełnie jasno — dla szerokich mas społeczeństwa amerykańskiego; obniżenie poziomu życiowego, ograniczenie praw obywatelskich, dla koncernów amerykańskich zamówienia na sprzęt wojenny, dla krajów zachodnio-europejskich pełne uzależnienie gospodarcze i polityczne od dysponentów finansowych z Wall - Street, którzy ponownie skazują Europę na jej starodawne przekleństwo — olbrzymią stałą armię".

Pakt atlantycki jest grą wymienną nie tylko o Związek Radziecki i państwa demokracji ludowej, ale i o amerykańskie masy pracujące, powinny one zrobić wszystko, apeluje Wallace, aby pakt ten nie wszedł w życie, bo jest to pakt wojny, „do pokoju prowadzi tylko ONZ i porozumienie z Rosją", od którego Związek Radziecki nigdy się nie odcinał. **M. K.**

Kto dba o kulturę?

Jednym z chwytów, którym najczęściej posługują się firmanci paktu atlantyckiego, jest chęć wmówienia swoim narodom, że motywy zawieranego sojuszu są przecież tak szlachetne. Chodzi tu o sprzymierzenie się w obronie kultury europejskiej, której zagraża Związek Radziecki. Wynikałoby stąd, że w krajach kapitalistycznych, oświata, nauka, sztuka są otaczane najwyższą opieką państwa i odwrotnie w państwie socjalistycznym te wartości zepchnięte są na ostatni plan. A tymczasem? Najobiektywniej o kierunku, w jakim dążą Stany Zjednoczone i Związek Radziecki, informują budżety państwowe na rok bieżący. Truman w orędziu do Kongresu określił, że wydatki na uzbrojenie wyniosą 38% budżetu, łącznie z wydatkami innymi na cele wojskowe będzie stanowiło to przeszło połowę całego budżetu. Równocześnie na cele oświatowe przeznacza tu się tylko 1% ogólnych wydatków. W Związku Radzieckim natomiast w ogólnym planie budżetowym niesłychanie wzrastają pozycje na oświatę, naukę, sztukę, ochronę zdrowia, dochodząc w niektórych republikach do 3/4 przewidzianych na ogólne wydatki sum. W Związku Radzieckim cały wysiłek idzie w tym kierunku, by zapewnić człowiekowi lepsze, szczęśliwsze życie. W Stanach Zjednoczonych politycy, pozostający na usługach Wall-Street, myślą tylko o tym, by wyprodukować jak najwięcej narzędzi mordu.

Poeta tadżycki Mirzo Tursun Zade powiedział na sesji Rady Najwyższej ZSRR: Cyfry Wall-Street — to cyfry wojny i cierpień narodów, cyfry naszego budżetu państwowego, to cyfry pokoju i szczęścia narodów". **M. S.**

Prawda o amerykańskich dyplomatach

Kim są dyplomaci amerykańscy — opisała w sposób niezwykle plastyczny urzędniczka ambasady amerykańskiej w Moskwie — Annabella Bucar.

Kim więc są? Wszystkim — tylko nie tym, czym być powinni. Są szpiegami, wywiadowcami, spekulantami. Annabella Bucar wykazuje na obrazie licznych przykładów, ilu zawodowych szpiegów wysyłał rząd Stanów Zjednoczonych do Związku Radzieckiego — począwszy od ambasadora, słynnego gen. Bedell-Smitha do prostych urzędników. W jakim celu wysyłano ich do ZSRR? Na pewno nie w celach pokojowych, ani przyjaznych. Nie wysyłano by na placówki dyplomatyczne szpiegów, gdyby rząd Stanów Zjednoczonych miał wobec Związku Radzieckiego pokojowe zamiary. Bo i po cóż?

Annabella Bucar przedstawia też nastroje sfer panujących Stanów Zjednoczonych wobec ZSRR. I znów to samo. Żadnych tendencji pokojowych — maksimum zaś zamiarów wrogich, agresywnych, imperialistycznych.

To, co mówi Annabella Bucar jest jaskrawym obnażeniem kłamstwa o pokojowych tendencjach ich polityki, w pierwszym rzędzie paktu atlantyckiego, którym politycy anglosascy chcą okryć swe istotne zamiary. Ale nadaremnie. Nie oszukają jednak nikogo — tym bardziej Związku Radzieckiego. **s. s.**

Amerykanizmy

Agencja AFP donosi, że w miejscowości Arbor w stanie Michigan: „pewien student tamtejszego uniwersytetu, niejaki Paul Smith, założył się, że zje więcej niż czteromiesięczny prosiak. Ten ostatni dostanie papkę owsianą i zbożową z mlekiem i z wodą, a jego przeciwnik zacznie od amerykańskiego śniadania przechodząc następnie do nieokreślonej chwilowo ilości antrykotów z kartofelkami. Podstawą dla wyroku sędziowskiego będzie waga połkniętej żywności".

Nam nie pozostaje nic innego, jak tylko wyrazić życzenie, by w tych „zawodach" prosię zwyciężyło „intelektualistę". Z utuczonego prosięcia będą bowiem szynki, a z takiego intelektualisty naśladującego świnię...?

A oto fragmenty okólnika, jaki otrzymał jeden z prenumeratorów „New Yorker'a":

„Biorąc pod uwagę wielkie niebezpieczeństwo niszczycielskiej wojny atomowej, która może wybuchnąć lada chwila, a w której mogłaby być zniszczona jedna trzecia część naszej ludności przy pomocy promieni śmierci, pocisków odrzutowych, bomb atomowych i mikrobowych — i to w przeciągu kilku godzin — zastanowiliśmy się nad tym, w jaki sposób (z pomocą Boga) moglibyśmy wam pomóc w uniknięciu zbliżającej się katastrofy...

Zakupiliśmy więc w odległości jednej godziny jazdy autokarem z San Francisco pewną ilość parcel, na których będzie pan mógł schronić się wraz ze swoją rodziną. Nasze schrony przeciwko bombom, zbudowane w rozkosznej okolicy, gwarantują panu całkowite bezpieczeństwo..."

Podpisany pod tym listem pan Stanley R. Paul, który przy pomocy Boga, chce ratować swych rodaków przed pewną zgubą, będzie zapewne należał do tych nielicznych, którzy zrobią dobry interes na zbiorowym obłędzie społeczeństwa amerykańskiego, wywołanego atomową histerią. Business is business, zwłaszcza w kraju, w którym „intelektualiści" idą w zawody z prosiakami. **(em)**

...Którzy walczyli w ruch uoporu..

Stanisław Napieracz, robotnik-emigrant polski, otrzymał niedawno nakaz opuszczenia Francji, ponieważ zebrano o nim „złe informacje". Przed wyjazdem wysłał do Prezydenta Francji list otwarty.

Napieracz przebywał we Francji od 1923 roku, nigdy nie był karany, służył ochotniczo w armii francuskiej, walczył z Niemcami w ramach Ruchu Oporu, za co został wywieziony do Dachau. Za zasługi w Ruchu Oporu otrzymał Krzyż Wojenny z palmami. Żona Napieracza również brała czynny udział w Ruchu Oporu. Więzili ją za to Niemcy dwa lata. Jest także odznaczona.

A jednak otrzymali Napieraczowie nakaz opuszczenia Francji. „Złych informacji" dostarczyli o nich rządowi „socjaliści" Zaremby i „ludowcy" Mikołajczyka.

„Muszę jednak stwierdzić — pisze Napieracz w liście do Prezydenta — że podczas gdy wszelka wolność pozostawiona jest Polakom, zwalczającym nową Polskę, coraz częściej zdarzają się wypadki ścigania i wysiedlania tych, którzy jak ja walczyli w Ruchu Oporu i wiernie służyli Francji narażając swe życie dla jej wolności i niezależności... Na znak protestu zwracam Panu moje francuskie odznaczenie. Gest ten nie jest manifestacją przeciwko narodowi francuskiemu, obok którego walczyłem z bronią w ręku i którego wspaniałą walkę o pokój podziwiam. Czynem moim pragnę podkreślić oburzenie moje i innych patriotów polskich przebywających na francuskiej ziemi na niesprawiedliwe potraktowanie wielu Polaków, przyjaciół Francji. Jestem pewien, że wielu Francuzów podziela moje zdanie".

Na pewno wielu, przede wszystkim zaś klasa robotnicza, występująca silnie w obronie pokoju przeciw tym, którzy wczoraj wzywali polskich emigrantów do walki z faszyzmem, a dziś ich za to pozbawiają prawa do pracy. A kto wie, czy jutro nie zawezwą pozostałych do łączenia się z Niemcami. Właśnie tymi, którzy więzili w obozach koncentracyjnych Napieraczów. **p. p.**

Czyżby koń trojański

Panuje ogólne przekonanie, że p. Dean Acheson jest „godnym" następcą pp. Byrnesa i Marshalla, że będzie kontynuatorem ich polityki na forum międzynarodowym. Pozory jednak często mylą. Jak się okazuje, ciąży na nim podejrzenie, że jest zamaskowanym komunistą. Zanim został mianowany sekretarzem stanu do spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych musiał oczyścić się z następujących zarzutów:

1) Będąc podsekretarzem stanu w okresie od 1945 do 1947 roku pozwolił na udzielenie Polsce (demokratycznej!) pożyczki w wysokości 90 milionów dolarów.

2) W 1945 roku wygłosił w Nowym Jorku „przemówienie filoradzieckie".

P. Dean Acheson przyznał się do wszystkich zarzutów, lecz podał jako okoliczności łagodzące następujące fakty: mowę swoją wygłosił w okresie, gdy w Europie i w Azji szalała jeszcze druga wojna światowa, gdy zależało na tym, by żołnierze radzieccy, a nie amerykańscy przelewali swą krew na polach bitew, umożliwiając amerykańskiemu przemysłowi wojennemu wielkie zarobki. Jeśli zaś chodzi o pożyczkę dla Polski, to prawdą jest, że p. Dean Acheson nie tylko pozwolił na jej udzielenie, ale również przyłożył do tego swą rękę... w której zostało ni mniej ni więcej jak tylko 50.000 dolarów — jako swego rodzaju honorarium za pośrednictwo. Nie ma więc mowy o jakimś sympatyzowaniu politycznym, skoro w grę wchodził ze strony p. Achesona zwykły business.

Podane przez oskarżonego okoliczności łagodzące zostały przyjęte i prawdziwy Amerykanin (w przeciwieństwie do takiego Howarda Fasta czy Paula Robersona) p. Dean Acheson został następcą twórcy planu Marshalla. **m.**

Jasne, prawda?

Amerykański miesięcznik „Sodalis" Nr 1 (278) wydawany przez Zakład Naukowy w Orchard Lake Michigan U.S.A. ogłosił niedawno artykuł, w którym można m. in. czytać:

„Watykan, jak pisze londyński „News Review", próbował izolować się od walki między Wschodem i Zachodem, lecz próby utrzymania równowagi okazały się bezowocne. Najmniejsze i największe państwa świata stanęły więc do walki, której siły nie są tak nierówne, jakby można z pozorów sądzić. Kościół posiada wpływ na 330 milionów katolików i łączy **nadzwyczajną zdolność przystosowania się do okoliczności z jasną wizją ostatecznych celów.** Wielką zdolność dyplomatyczną i niewyczerpaną cierpliwość. **Wątła postać Piusa XII może więc sprostać Stalinowi.** Od śmierci kardynała Maglione Pius XII sam prowadzi politykę zagraniczną. Mimo słabego zdrowia jest tytanem pracy i energii. Śpiąc 3 — 4 godzin na dobę sam bada raporty, **sam pisze instrukcje na swej białej maszynie portable.** Wykonawcami, a po części doradcami są dwaj duchowni niewysokiego stopnia — msgr. Tardini, Rzymianin o wielkiej, lotnej inteligencji, i msgr. Montini, **pedant z północnych Włoch.**

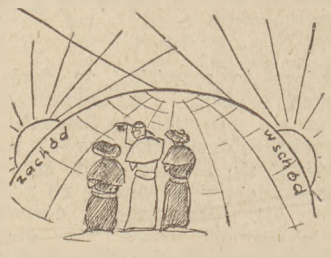

Hi della Torre, naczelny redaktor „Osservatore Romano" usiłował w serii artykułów wykazać, że socjalizm jest faktem, z którym trzeba się liczyć i że trzeba znaleźć porozumienie między nim a resztą świata. Ale z tego nic nie wyszło i ostatnia wymiana listów między papieżem i Trumanem dowodzi, że Watykan postanowił stanąć w jednej linii z Zachodem".

Jasne — prawda? **Z. S.**

Chiński mur

A) „1. Brak umowy o pracę. 2. Dwunastogodzinny dzień pracy. 3. Praca co drugą niedzielę. 4. Nieuczęszczanie do szkół dokształcających. 5. Brak badań lekarskich... A w rogu poczekalni statueta Chrystusa z napisem: „Ich bin Wahrheit und Licht" (Z raportu brygady kontrolnej ZMP o warunkach pracy młodocianych pracownic w szpitalu S.S. Elżbietanek w Niemodlinie).

B) „Warunki higieniczne — b. złe. Bieliznę pościelową zmienia się raz na dwa miesiące, chłopcy nie kąpią się nigdy... chodzą przez cały rok w letnich ubraniach..., w bibliotece nie ma żadnej książki wydanej po wojnie... przy odbiorniku radiowym czuwa stale jeden z zakonników, by nie dopuścić do słuchania pogadanek, odczytów... w świetlicy poza „Rycerzem Niepokalanej". „Głosem Karmelu" i „Caritasem" nie ma innej prasy... główną metodą wychowawczą stosowaną przez księży jest bicie...

(Warunki w zakładzie wychowawczym im. Andrzeja Boboli w Strudze pod Warszawą — „Pokolenie" Nr 18).

Słusznie pisze redakcja „Pokolenia": trzeba zajrzeć za mury zakładu im. A. Boboli w Strudze. I nie tylko tam, zajrzeć trzeba za mury wszystkich tych zakonnych i księżych zakładów, które nie przestrzegają obowiązujących w Polsce ustaw, i w stosunku do nieprzestrzegających ustaw wyciągnąć odpowiednie konsekwencje. Idzie przecież nie o garstkę zakonnic i zakonników, którym mury graniczne są do „wyższych celów" potrzebne — ale o tych młodych ludzi — którzy zamknięci za klasztornymi murami tracą kontakt ze społeczno-gospodarczym i kulturalnym życiem narodu, którzy nie wiedzą, że za chińskim murem klasztornych instytucji, rozwija się, rośnie, i czeka na młodzież młode państwo ludowe. **k. m.**

„Snopy dla kultury"

W artykule Jana Pilarza „Kultura na czeskiej wsi" (Dziennik Literacki Nr 14 (109) czytamy:

„Dowodem tego, jak ściśle związane są fundamenty gospodarcze z nowym prądem kulturalnym na wsi, jest zakrojona na wielką skalę akcja tzw. „snopów dla kultury". Pomysł ten wyszedł w zeszłym roku od rolników, jednego powiatu, a dziś znalazł zastosowanie prawie w całym państwie. Polega on na tym, że chłopi wytwarzają sobie w gminach specjalne fundusze przeznaczone na cele kulturalne, na które składają jako dary snopy zboża, kosze ziemniaków, owoce, chmiel, buraki cukrowe... **Fundusze te wzrastają do milionów**, a używa się ich dla popierania cywilizacyjnych i kulturalnych urządzeń, mających podnieść poziom czeskiej wsi i zrównoważyć go z miastem".

U nas również istnieje na wsi zwyczaj składania snopów — ale zamiast na kulturę — na pękate wozy księży proboszczów jeżdżących co roku na tzw. „kolędę". Może by koła partyjne, ew. ZSCh, zainteresowały się akcją kulturalną czeskiej wsi i zreformowały niektóre nasze „starodawne" i „szlachetne" obyczaje.

Warto przy tej okazji zwrócić uwagę i na inne osiągnięcia czeskiej wsi na polu kulturalnym, jak np. „spółdzielnie kulturalne", których liczba od r. 1948 dosięgła 1.000, a których zadaniem jest troska o materialne i gospodarcze warunki potrzebne dla życia kulturalnego na prowincji. Warto też dodać, że inicjatywa tych „spółdzielni kulturalnych" wyszła z kręgu pisarzy czechosłowackich zrzeszonych w „Syndykacie pisarzy czeskich". Ten przykład też wiele mówi. **tp.**

Sojusz chłopów polskich i radzieckich

Kongres Związku Samopomocy Chłopskiej był nie tylko dowodem zacieśniającego się sojuszu robotniczo-chłopskiego i wyrazem podjęcia nowych zadań stojących przed szerokimi masami ubogiej i średniorolnej ludności wsi. Kongres był równocześnie spontaniczną manifestacją sojuszu chłopów polskich i radzieckich. Przyjazd delegacji radzieckiej na Kongres Samopomocy Chłopskiej był obok wizyty chłopów polskich na Ukrainie wyrazem zacieśniającej się przyjaźni obu narodów. Jest to obok mocnych więzów solidarności klasowej łączących klasy robotnicze obu krajów — dalszy etap pogłębiającego się sojuszu mas pracujących ZSRR i Polski. Dla mas chłopskich Polski sprawa bezpośrednich kontaktów z chłopami radzieckimi posiada żywotne znaczenie. Coraz bardziej oczywistym staje się bowiem dla polskich mas chłopskich, że dzięki dalekowzrocznej polityce Lelina—Stalina, dzięki rewolucji socjalistycznej, udało się narodom ZSRR przekształcić zacofaną gospodarkę rolną Rosji carskiej w najbardziej przodującą gospodarkę rolną na świecie. Delegacja polska na Ukrainie i delegacja radziecka na Kongresie Samopomocy Chłopskiej opowiadały polskim masom chłopskim o wielkich osiągnięciach kołchoźnika radzieckiego, o kulturze i dobrobycie, w jakim żyje, o opiece, jaką państwo i partia bolszewicka otaczają chłopów, o wielkich osiągnięciach rolnych, wywołanych przez odkrycia Miczurina i Łysienki.

O tym wszystkim dowiedzieli się chłopi polscy dzięki stałe i bezustannie zacieśniającej się przyjaźni z chłopami radzieckimi. Dowiedzieli się, jak bratnie narody zniosły wyzysk i zacofanie wsi i weszły na drogę świetnego rozwoju dobrobytu, gospodarki i kultury. **N. N.**

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480 — zł; rocznie 960.— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁODZ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2.
D—036428